LUCYAN RYDEL



POEZYE

Kochanej Halusi
na pamiątkę
Wojciech Miü[illegible]

Kraków 12. X. 1903.



Lucjan Rydel

LUCYAN RYDEL
POEZYE

[1901]

Z RYSUNKAMI STANISŁA:
WA WYSPIAŃSKIEGO

NAKŁADEM KSIĘGARNI
D. E. FRIEDLEINA MCMI
WARSZAWA E. WENDE SP:





Z NOWEJ DRUKARNI JAGIELLOŃ:
W KRAKOWIE, JAGIELLOŃSKA 10
POD ZARZĄDEM L. K. GÓRSKIEGO

MOJEJ MATCE


S.W.

Wstań pieśni, wstań z drgających strun
I dzwoń i dźwięcz;
Przez blask wieczorny złotych łun,
Przez tryumfalne łuki tęcz
Płyń w lazurową nieba toń
I dźwięcz i dzwoń.

Pod tobą w dole, w dole gdzieś,
Wśród lip i brzóz,
W zielonych sadach cicha wieś
I świegot ptasi w gąszczach łóz
I dymy, które wiatru dech
Gna z niskich strzech.

Pod tobą łany chlebnych zbóż
I wstęgi rzek
I szafirowe tafle mórz
I skalnych szczytów srebrny śnieg,
Pod tobą w chmurach śpiący grzmot
I orłów lot...

O płyń przez gwiazd promienny pył
W otchłanie sfer,
W zawrotny wir ognistych brył,
W szkarłatny odmęt krwawych skier,
W blask opalowy — leć i toń
I dźwięcz i dzwoń!



Patrzę i patrzę na ogromne łany,
W ciszę słoneczną, gdzie nad morzem kłosów
Stoi rozwarty błękit nieba szklany, —
Gdzieś po za krawędź tych bladych niebiosów
I pól, podobnych rozlanemu złotu
Chciałbym tak odejść precz — i bez powrotu;

Bo tu gdy jestem coś mi w sercu rwie się,
Tak smutnie ku mnie szumią kłośne żyta,
Wiatr białe puchy polnych ostów niesie
I każda wierzba przydrożna mnie pyta:
— „Pamiętasz? Dawniej byłeś tu szczęśliwszy!“
I muszę płakać, twarz w dłoniach ukrywszy.

Bławatki na mnie patrzą z pośród zboża
Okiem szafiru — i maki czerwone,
Jakby mówiły: „Choćbyś szedł za morza,
Gdziekolwiek pójdziesz, w każdą świata stronę
Zabierzesz serce krwawiące i chore!“
— Prawda — zabiorę, krwawiące zabiorę.

Słońce majowe w ognia koronie
Za las się czarny chowa,
Strzechy i sady, pola i błonie
Owiała mgła różowa.

A w tej złocistej blasków powodzi,
W sukience z gwiazd utkanej
Powiewna jakaś postać wychodzi
Na szmaragdowe łany.

Bielą się z dala śnieżne jej szaty
Po łąkach i po lesie
A wietrzyk za nią chodzi skrzydlaty
I rąbek szat jej niesie.

Na piersi drobne złożyła ręce
I płynie po przeźroczu,
Jakby zdumienie jakieś dziewczęce
Z jej dużych patrzy oczu.

Czasem kosiarzy, co trawę sieką
Na łąkach widzi w dali,
Albo rybaków zgiętych nad rzeką,
Co się od zorzy pali.

Czasem kobiety mija nad strugą,
Piorące białe chusty,
Patrzy za niemi rzewnie i długo
Z uśmiechniętemi usty.

A gdy po drodze dziecko napotka,
Co w polu pasie krowy,
Wtedy podchodzi cicha i słodka
I włos mu gładzi płowy.

Wierzby garbate przy każdej strzesze
Kornie się przed nią klonią,
Kwiatów u nóg jej klękają rzesze,
Modląc się do niej — wonią.

Grają koników polnych kapele
Z chórami żab złączone,
Echo rozwiejne do nóg jej ściele
Tę dziwną antyfonę.

I przez wieczorną ciszę się niosą
Litanie te olbrzymie...
Płynie po świecie z wilgotną rosą
Jej wniebowzięte imię.



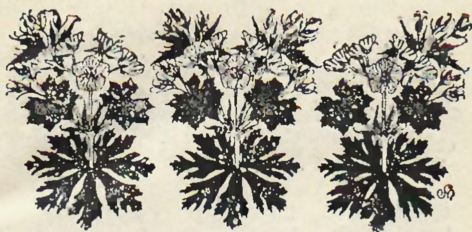
I.

Lubiłem na wsi złote lipcowe wieczory,
Kiedy krwawą pożogą gmach niebieski płonie,
A słońce na ognistym konające tronie
Depce chmur cielska, jako czerwone potwory.

I zgliszcza dogasają i bledną kolory
I ziemia zwolna w mroku szafirowym tonie,
A z łąk wilgotnych siana zalatują wonie
I chórów żabich głośne płyną rozhowory.

Księżyc poprzez topole świta złotorogi,
Echa zmięszanych głosów lecą gdzieś od drogi:
Pobrzękują uprzęże i gwarzą parobcy...

A potem cisza była. I gwiazd mleczne rzeki
Myśl moją tęskną niosły w świat jakiś daleki
W świat szeroki, ogromny i dziwny i obcy.



II.

Poszedłem w świat ogromny, daleki, nieznany,
I wśród obcego tłumu sam wieczorem chodzę,
Gdy zachód, w purpurowej paląc się pożodze,
Ognie kładzie na wodach zielonej Sekwany.

Patrzę, jak dymów rude kłębią się tumany
Na tle złocistych blasków — i oczyma wodzę
Po szczytach wież, co w niebo lecące, po drodze
Skamieniały i w łunie kąpią się różanej.

I tak mi smutno w duszy!
— Wiem, że za powrotem
Znów tam siędę przed dworem
w zorzy świetle złotem
I księżyc nad topole wypłynie rogaty.

Żaby rechotać będą, pachnieć będzie siano
W noc letnią, cichą, słodką, gwiazdami usianą —
Lecz ja inny już będę, niż wtedy, przed laty...



Księżyc wyszedł i płynie jak łódź pozłacana,
Niebo wisi niezmierne, bezdenne jak morze,
Chmur lotny puch szybuje
przez jasne przestworze
Srebrząc się, jako morska białogrzywa piana,

Niebo wisi niezmierne, bezdenne jak morze,
Tatry czernią się w dali, jak grzbiet Lewiatana —
Srebrząc się, jako morska białogrzywa piana,
Śnieg osiadł granitowy zrąb, co błękit porze.

Tatry czernią się w dali, jak grzbiet Lewiatana,
Wichry po turniach w dzikim huczą rozhoworze,
Śnieg osiadł granitowy zrąb, co błękit porze —
A w koło mgła, z miesięcznej poświaty utkana.

Wichry po turniach w dzikim huczą rozhoworze,
Dolina leży cicha, snem zaczarowana,
A w koło mgła z miesięcznej poświaty utkana,
Jakby rąbek wzorzysty, co ocienia łoże.

Dolina leży cicha, snem zaczarowana,
Milczy las smukłych świerków o brodatej korze.
Jakby rąbek wzorzysty, co ocienia łoże,
W górze, ciemnych gałęzi sieć wisi splątana.

Milczy las smukłych świerków o brodatej korze
Paproć kryje świerkowych korzeni kolana,
W górze ciemnych gałęzi sieć wisi splątana,
Mdłe półblaski, półcienie majaczeją w borze.

Paproć kryje świerkowych korzeni kolana,
W powietrzu woń, lecz kwiatów
dostrzedz wzrok nie może,
Mdłe półblaski, półcienie majaczeją w borze,
Księżyc wyszedł i płynie jak łódź pozłacana.





I.

Z nad pastuszego wstające ogniska
Błękitne dymy w powietrzu się wloką
Daleko, szeroko
Na czarne role, na płowe ścierniska.

We mgle majaczą białe grzbiety wołów
I pługi — rzędem ciągnące na roli
Leniwie, powoli,
Pod niebem szarem i ciężkiem, jak ołów.

Wron stada kraczą nad zoraną smugą
I za wołami krzyczą poganiacze
Żałośnie i długo,
A wiatr w pożółkłych drzewach cicho płacze.



II.

Żółte listki brzóz
Dygocą, dygocą,
Bo je dzisiaj nocą
Zwarzył siwy mróz.

I padają z drzew,
Jak ulewa złota,
Po ziemi je miota
Wiatru zimny wiew.

Źle tym liściom, źle,
Co zleciały z drzewa
Wicher je rozwiewa
Na deszczu, we mgle.

Lecą z ostrym tchem
W zawieję okrutną –
Jak tym liściom smutno,
Ja najlepiej wiem...



Samotny błądzę ogromną aleją,
Gdzie nagie drzewa, szeregami dwoma
We mgle jesiennej bez końca czernieją
Z wyciągniętemi błagalnie rękoma
Ku sinym chmurom, co nad światem wiszą,
Jak gdyby groźba czarna, nieruchoma.
A wody w stawie przerażone ciszą
W szkliste i martwe ścięły się zwierciadło
I ani zadrgną, ani zakołyszą
Żółtymi liśćmi, których tyle spadło
Z brzóz pochylonych nad topielą senną.
Pośród pni siwych, jak ciche widziadło
Bieleje Psyche i lampę kamienną
Trzyma nad głową w nadkruszonej ręce,
Patrząc w dal twarzą smutną i niezmienną
Mchami porosły jej piersi dziewczęce
I z oczu szare ociekły jej smugi,
Jak gdyby ślady łez, wylanych w męce,
W tęsknocie niemej, beznadziejnej, długiej...



Nad śniegów pustą, bezbrzeżną równiną
Zachodnich żarów gaśnie rąbek wązki,
A wierzb umarłych bezlistne gałązki
We mgle czerwonej kratę czynią siną.
W mroku, co w śniegi błękitnawo pada,
Kołują zwolna czarnych ptaków stada
Nad śniegów, pustą, bezbrzeżną równiną.

W głuchej martwocie białe śpią zagony
I tylko czasem wichry — płacząc — wydmą
Z powiewnych puchów jakieś blade widmo,
Które nad pustką chudemi ramiony
Chwieje — i w śnieżny zapada się wyłom,
I znów, ogromnym podobne mogiłom,
W głuchej martwocie białe śpią zagony.



W błękitną, cichą noc miesięczną
Ktoś na skrzypcach gra,
Melodya płynie falą dźwięczną,
W powietrzu jasnem drga.

I brzozy stoją zasłuchane
W harmonię słodkich brzmień...
Księżyc na białą dworu ścianę
Rzuca gałązek cień.

Coraz namiętniej, rzewniej, mięcej
Rozbrzmiewa skrzypiec ton,
Jakby żałosny płacz dziewczęcy
Z dalekich leciał stron.

I brzozy w księżycowym srebrze
Rozwiały siwy włos,
Słysząc, jak żali się i żebrze
Łkających skrzypiec głos...



Niechże ja tak sam nie stoję
Z moim smutkiem i rozpaczą,
Niechże gwiazdy choć zapłaczą
Zaglądając w okno moje.

Niechże mam choć litość czyją
I samotnie się nie męczę,
Wodę z morza piją tęcze,
Niech i moje łzy wypiją...

* *
*

Żale moje nie dla ludzi,
Oni czują tylko własne,
Niech mnie jeno — kiedy zasnę —
Nikt nie woła, nikt nie budzi!



Widziałem szkliste martwych wód obszary
Na okół taflą rozlane stalową
I niebo miałem kamienne nad głową,
Wykute całe z jednej chmury szarej,

A z głębi tego wodnego cmentarza
Wychodził księżyc, jak białe widziadło;
Westchnęły wody i niebo pobladło,
Bo księżyc w twarzy miał coś, co przeraża

I stanął wielki, zimny, nieruchomy,
Wpatrzony w nurtów odmęt zwierciadlany
I trupie blaski kładł na skalne ściany
I w ołowiane chmur czarnych załomy.

Bezbrzeżna pustka leżała wokoło,
Bo prócz mnie z żywych nie było nikogo —
I drżałem zdjęty dziwną jakąś trwogą —
A księżycowy blask mroził mi czoło.

Czułem na sobie te zimne promienie
Jak gdyby ręce śliskie i kościane,
Czułem, że jeśli w tej chwili nie wstanę,
To mnie śmiertelne ogarnie strętwienie

I że przyrosnę do skał martwą skałą,
Miesięcznych blasków zaklęciem uśpiony;
Chciałem wstać, krzyczeć, biedz w dalekie strony —
Lecz mnie przykuwał księżyc — twarzą białą...

Jakby o zmroku zabłąkane ptaki,
Tak myśli moje lecą gdzieś odemnie
W kraj dziwny jakiś, ja sam nie wiem — jaki.
Byłem w nim kiedyś, ale dziś daremnie
Spoglądam w Lety zamglone zwierciadło,
Szukając czegoś, co na dnie przepadło...

Czasami przecież widzę jakby we śnie
To samo leśne pół-senne jezioro:
Z brzegu szuwary i zielone pleśnie
I powalone pnie ze rdzawą korą,
W pośrodku tafla rozlewa się gładka,
A lilie wodne świecą na niej zrzadka.

I drzew olbrzymich sklepione konary
Tworzą nad wodą kopułę zieloną.
Pod nią ze słońcem, pomrok igra szary.
Barwy i kształty błysną i znów toną.
I sieć utkana z cieniów i promieni,
Na wód krysztale miga się i mieni.

Wśród ciszy tego leśnego kościoła,
Co z fal posadzkę, z gałęzi ma stropy,
Słyszę, że ktoś mnie po imieniu woła
I słyszę czyjeś szeleszczące stopy,
A zioła leśne drżą na tamtym brzegu,
Jak gdyby w szybkim potrącone biegu.

Ale napróżno patrzą moje oczy —
Mgły z nad topieli wstają coraz bledsze,
Wszystko przedemną mąci się i mroczy,
Raj mój się zwolna rozpływa w powietrze
I płakać mi się chce dziecinnym płaczem,
Chociaż sam nie wiem ni za kim, ni za czem.



Jest przystań jedna spokojna i cicha,
Owiana mgłami, nakryta pomroką,
Kędy w ciemnościach żaden wiatr nie wzdycha.

Gdzie gnuśne wody rozlane szeroko
Nie śmią uderzać o skaliste złomy,
Co ponad martwą piętrzą się zatoką.

Na skałach siedzi Sfinks — i nieruchomy
Umarłą przystań trzyma w swojej straży
I szklistej toni bezkresne ogromy.

Woda odbija siność jego twarzy
I wielkie ciągle otwarte powieki,
W których się jakaś tajemnica waży.

Siedzi, źrenice w przestwór wbił daleki,
Jak gdyby temi krwawemi oczyma
Widział w ciemnościach mijające wieki.

Umarłą przystań w straży swojej trzyma,
Do której wiecznie płyną czarne łodzie,
Chociaż ich żagli żaden wiatr nie wzdyma.

Bez szmeru suną, bez plusku po wodzie,
Chwieją się tylko w jednostajnej mierze
I bieg ich ledwie śliskie nurty bodzie.

Blade anioły w łodziach są przy sterze
A na pokładzie stoją smętne duchy,
Bielmem ócz trupich patrząc na wybrzeże,

Na ten ląd ciemny, skalisty i suchy,
I na twarz Sfinksa ołowiano siną,
Który się ciszy przysłuchuje głuchej.

Tak pochylone nad czarną głębiną,
Z rękoma kornie na krzyż złożonemi,
Duchów gromady coraz nowe płyną.

I zawijają pielgrzymowie niemi
Do tej zatoki nieznanego świata,
Gdzie ani dzwony pogrzebowe z ziemi,

Ni jęk żałoby ludzkiej nie dolata.



Tam — w dalekościach, gdzie nić złota dzieli
Bezmiary niebios od wodnych bezmiarów,
Stoi krąg słońca w płomiennej topieli
Dwóch łun ogromnych,
dwóch krwawych pożarów.

Na płynnych wałów ryczące odmęty
Blask długą, prostą kolumną się wali
I rozstrzelony skrzy się — i pogięty
Jak wąż ognisty na drgającej fali.

Rozkołysanych zwierciadeł krawędzie
Palą się żarem, pękają w okruchy,
Złociste bryzgi wyrzucają w pędzie
I perłowymi bałwanią się puchy.

Z głuchym pogwarem wodny zrąb na zrębie
W płynącą ścianę zbija się i spiętrza,
Z wyciem zapada w rozdziawioną głębię,
Z jej zielonego znów się dźwiga wnętrza.

Na oślep gnana, grzmi ta bezdeń cała,
Skowyczy, płacze, wspina się i wzdyma,
Dziwaczne jakieś kłębią się w niej ciała:
Potworne syny słonych wód olbrzyma.

Wiją się, plączą oślizłe kadłuby,
Krwawi się czerwień paszczęk i podniebień,
Czasem się z wody kark wynurza gruby
I nagle na nim szklany błyska grzebień.

I pogwar cichnie — w otchłań ciemną uszli
Twarz tylko sina z toni się wyszczerza,
Odyma wargi i huczy na muszli,
Aż echa biją w skaliste wybrzeża...

Tam nurt promienny kryształem się łamie,
Jakby rozcięty ostrzem srebrnej skrzeli
I morska dziewka śnieżne wznosi ramię
I pierś różaną — z nad wodnej pościeli.





Nie pytam co mnie czeka — nie dbam dokąd płynę,
Gnany siłą przeznaczeń ślepą i bezwiedną —
Za mną wybrzeża wspomnień,
przedemną mgły sine
Płynę i wszystko mi jedno...

Przeżyłem, przekochałem lata moje młode
Sny moje, jako róże więdniejące bledną,
Czasem je sam obrywam i rzucam na wodę,
Niech giną — wszystko mi jedno!

I brzegi coraz dalej i róż w mojej dłoni
Coraz mniej — a mgły gęste na okół nie rzedną
I nigdzie, nigdzie lądu na bezmiernej toni
Płynę i wszystko mi jedno.



Otwarli okno — jakaś fala świeża
Twarz mi powiewem oblała i szyję,
Chłodzi mi usta, piersi mi rozszerza,
Z jej tchnieniem zdrowie mi wraca — i żyję...

Na ręce moje przez otwarte okno
Padł promień słońca, jak gdyby ptak biały,
Nawet w tej szklance, gdzie fijołki mokną,
Smugi słoneczne w tęczę się złamały...

W blaszanych dachach, jak w źwierciedle złotem
Twarz nieba z góry przegląda się cicha —
A tam, na dole, bruki grzmią łoskotem
I miasto gwarem, jak morze, oddycha.

Mówią, że wiosna — a ja wyjść nie mogę.
I patrzę ciągle na te szare ściany,
Tylko mi czasem pada na podłogę
Od okna — promień słoneczny, świetlany...

Mówią, że wiosna... Jak tam, gdzieś — daleko
Młodymi liśćmi pękać muszą drzewa,
Jakie tam strugi z łąk wilgotnych cieką,
Jak się tam ziemia do słońca wygrzewa,

Jak pachnie zagon świeżo rozorany
I pług na czarnych skibach jak połyska!
— Pewnie już białe wróciły bociany
I przez zielone brodzą trzęsawiska...



Przekleństwo łzom, które się próżno leją,
Gdy burza wre dokoła
I huczy grom,
Gdy trzeba trwać z odwagą i nadzieją
I nie uginać czoła —
Przekleństwo łzom!

Przekleństwo snom, które się próżno marzą,
Gdy spłonął dach nad głową
I runął dom,
Gdy trzeba wstać i ze spokojną twarzą
Budować gmach na nowo —
Przekleństwo snom!

Przeklęta jest — po trzykroć jest przeklęta
Ta małoduszność blada
Co znosi srom
I sama lot własnego ducha pęta
I w trwodze więzy wkłada
Swym łzom i snom.



Serce mi się wciąż wyrywa
Do dalekich moich stron,
Do tej ziemi ukochanej
Serce mi się wciąż wyrywa...
U nas teraz na wsi żniwa,
Złotokłosy pada plon,
Śpiewką żeńców dźwięczą łany,
Głos po niebie się rozpływa,
A na kłosach wiatr przygrywa,
Jak na harfie wyzłacanej.

Śpiewką żeńców dźwięczy niwa,
Na południe bije dzwon
I przy drodze wierzba siwa
Da gromadzie spracowanej
Cień blaskami przetykany...
— Mnie tu wpośród obcych stron
Śnią się ciągle takie żniwa
I ta wierzba i te łany
I do ziemi ukochanej
Serce mi się wciąż wyrywa!...



MITOLOGIE



MEDUZA

Twarz jej widzę w ciemnościach,
dech jej czuję bliski,
Pochyla się nademną zielona i sina,
Na jej czole wybladłem rój wężów się wspina
I w łusek centkowanych mieni się połyski.

Prężą się, kurczą w drgawkach, rozdziawiają pyski,
Z migotliwych języków ocieka im ślina
I świszcząc, każda ku mnie wzdyma się gadzina,
By na szyję swój pierścień zarzucić mi śliski.

Ale stokroć straszniejsze, niż oślizłe gady,
Których splot wściekły syczy, gmatwa się i kłębi —
Są te dwie łzy czerwone na jej twarzy bladej.

Żaden mróz tych piekielnych kropel nie oziębi,
Płyną, krwawe po sobie wypalając ślady:
Tak Rozpacz tylko płacze w ducha czarnej głębi...

FAUN I NAJADA

W porannej mgle i ciszy śpią bory stuletnie,
Pełne mrocznych tajemnic. W pośrodku polana
Traw zielenią pokryta i słońcem zalana,
Na niej złote dziewanny zakwitają świetnie.

U zdroju Faun młodzieńczy
dmie w trzcinową fletnię
A melodyę powtarza ciemnych lasów ściana
I po kamieniach woda wtoruje mu szklana
I pszczoła, kiedy brzękiem jasną ciszę przetnie.

I zatopiony w słodkim swej piszczałki śpiewie
Faun kozłonogi, grając nie widzi i nie wie,
Że się z źródła wychyla trwożliwa Najada.

Wodny szuwar wilgotną rozchyliła ręką,
Stoi oczarowana srebrzystą piosenką,
Słucha... słucha – i z oczu łza po łzie jej pada.



CENTAUR I KOBIETA

Gwiazdy bledną. Powiewnym oparem nakryta
Równina w dal się ciągnie gładka, nieskończona
Aż gdzieś, kędy – jak rzeka ognisto czerwona –
Pod zielonawem niebem krwawa pręga świta.

Cisza. Nagle po rosie zagrzmiały kopyta,
Głośny jęk się rozlega i bez echa kona,
Grzbiet koński we mgle miga i białe ramiona
I płowa struga włosów na wietrze rozwita.

Ponad tą jasną głową i tem śnieżnem ciałem,
Koło którego śniade ramię się oplata,
Chyli się inna głowa ciemna i brodata:

To centaur, co kobietę w objęciu zuchwałem
Nagą, mdlejącą niesie rozhukanym cwałem –
...Nikną w mgłach... tętent cichnie...
lecą na kraj świata...



PSYCHE

Ze srebrnych gwiazd na ziemię pada nocna rosa,
Z ziemi w otchłań szafiru płynie ciche tchnienie
I z kwiatów rozmarzonych woń wieczorną żenie
I z wód lekką mgłę zbiera i niesie w niebiosa.

Na wzgórzu stanął księżyc i patrzy z ukosa
Przez aleję cyprysów, co nieporuszenie
Czernieją na tle nocy, jak wysmukłe cienie —
Pod cyprysami błądzi Psyche jasnowłosa.

Idzie lotna niesiona skrzydłami motyla,
Co lśnią od złotych żyłek na perłowej błonce;
W jej ręku płomyk lampy różany migota —

Idzie i nad kwiatami przystaje co chwila:
Może wśród kropel rosy w kielicha obsłonce
Szuka łez, które ludzka wylała tęskota?...



PARKI

Słońco we krwi umiera. Zapadło w połowie
A jeszcze się ogląda z poza gór łańcucha,
Jeszcze po mętnem niebie rudą łuną bucha,
Lecz dołem noc już idzie na skalne pustkowie.

Wicher w szczelinach targa zioła jakieś wdowie
Jęczy... cichnie i echa własnych jęków słucha,
Jakby trwożny, czy skarga nie doszła do ucha
Zgrzybiałych mar,
co siedzą na głazach w parowie...

Wybladłe, siwowłose w pomroce się bielą:
Jedna przędzie zgarbiona nad szarą kądzielą
I nić — kościstą ręką — rzuca drugiej siostrze,

Która ciernie i kwiaty w drżącą przędzę wije.
Trzecia drzemiąc, kołysze naprzód i w tył szyję
I przez sen w wyschłych palcach
ściska nożyc ostrze...



SYRENY

Morze, zielone morze w niezmiernej przestrzeni,
A nad niem księżyc mleczny
w błękitnej przeźroczy;
Świetlisty nurt za nurtem z daleka się toczy
Śnieżny pianą, iskrzący błyskami promieni...

Od czarnych skał ku niebu
wionął śpiew syreni —
Leżą na głazach, w księżyc wbiwszy łzawe oczy,
Na pierś dziewczęcą woda ścieka im z warkoczy,
Od bioder łuska rybia tęczowo się mieni.

Śpiewają. I pieśń leci, omdlewa i gnie się
Dziwna, smętna, cudowna, podobna ich ciałom:
Na dnie mórz urodzona w koralowym lesie...

— Nagle jedna wskazała poza skalny załom:
Żagiel, w dali,
na mętnym, srebrnym widnokresie—
Śpiewają... Żagiel płynie... płynie wprost —
ku skałom!

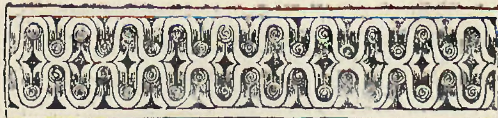
ORFEUSZ

Jesień — na niebie chmury, jako popiół szare,
W lasach drzewa pożółkły rdzawo i jaskrawie
I suche liście leżą na spłowiałej trawie
Z rzadka tylko paproci zielenieje parę.

Brzegiem leniwej rzeki, kędy wiązy stare
Zwieszają się gałęźmi ku piaszczystej ławie,
Orfeusz — zadumany w pół śnie, pół na jawie
Idzie, wlokąc za sobą na taśmie cytarę.

Jak ptak, schwytany w sieci,
gdy mu skrzydła utną —
W głuchym żalu na piersi schylił głowę smutną.
Chciałby śpiewać i płakać po swej Eurydyce,

Ale próżno twarz dłońmi zasłania obiema,
Próżno się za nim wlecze lutnia jego niema:
Pieśń mu w gardle zastygła i wyschły źrenice...



ERYNNIE

Po nocnem niebie lecą chmur zwichrzone stada,
Lecą jako potworne czarnopióre sępy,
Przez ich skrzydła podarte i rozwiane w strzępy
Światłość miesięczna czasem przebija się blada.

Marmurowej świątyni biała kolumnada
Świta i znowu gaśnie wśród oliwnej kępy
I znowu ją wysrebrza sierp księżyca tępy
I na stopniach ruchome cienie drzew rozkłada.

Po wschodach wbiega człowiek —
a za nim okropnie
Śmieją się jakieś głosy — i wężowe bicze
Świszczą nad nim...
On pędem stanął już u bramy...

Zamknięte drzwi spiżowe. Twarzą padł na stopnie
I kraj szaty nasuwa z jękiem na oblicze,
A na szacie czernieją krwi zastygłej plamy.



DIANA I ENDYMION

Miesięczny blask, na strugi srebrzyste rozbity,
Pada w mroczną głąb lasu po przez drzew konary
I strop leśny jest na kształt sklepionej pieczary
A promienie księżyca, jako stalaktyty.

Kolumnady pni czarnych i powiewne kity
Paproci koronkowych cień rzucają szary –
Cisza, tylko w oddali grają gdzieś ogary
I echo przez bór leci srebrnym snem spowity.

Z ciemnych gąszczów Diana wybiega dziewicza,
Na włosach krąg promienny,
w ręku łuk ma giętki...
Wtem stanęła śpiącego widząc Endymiona...

Patrzy – ujęta czarem sennego oblicza,
Pochyla się nad śpiącym cała zapłoniona
I na ustach mu kładzie pocałunek prędki...



DANAIDY

Jest w Hadesie ponura, skalista dolina,
Słońce się nad nią wiecznie
w ciemnej kryje chmurze,
A dnem jej stroma ścieżka po pod skał podnóże,
Jak wąż po głazach pełza, wije się i wspina.

Tą ścieżką Danaidy – białych widm drużyna –
Idą niosąc na głowach pełne wody krużе
I chylą czoła blade, jak więdnące róże
I pod ciężarem gną się, wiotkie jako trzcina.

Rzędem jedna za drugą zwolna idą boso
Wzdłuż nagiej, czarnej ściany
przez gruz i przez ciernie
I ślad swych stóp rozdartych znaczą krwawą rosą.

Idą wiedząc, że znowu w bezdennej cysternie
Przepadnie gdzieś ta woda, którą w krużach niosą
I cierpią beznadziejnie, napróżno, bezmiernie...

LEDA

Zachód łuną rozgorzał — pół nieba się pali,
Ognista kula słońca sieje blask jaskrawy
I topnieje w potokach rozżarzonej lawy,
Wpośród smug rubinowych i ławic korali.

Świetlana toń jeziora w złotych zmarszczkach fali
Odbija i przelewa niebios pożar krwawy,
Lasem płomiennych mieczów
sterczą wodne trawy,
A cień od nich na brzegu jest jak błękit stali.

Nad wodą siedzi Leda — pochyliła głowę
Wpatrzona w dal
spojrzeniem szklanem, nieruchomem,
Gdzie śnieżny łabędź ginie we mgły purpurowe...

Z dziwu lęku i szału nie ochłódła jeszcze,
W płonącem, nagiem ciele czuje zimne dreszcze
I siedzi — zórz odblaskiem różowa i sromem.



PEGAZ

Poczuł na sobie jeźdźca – wytęża do góry
Skrzydła grające blaskiem stubarwnego pierza,
Leci, z ogromnym szumem błękity przemierza,
Krąg tęczowy lotnemi zataczając pióry.

A jeździec – pieśniarz młody – niesiony w lazury,
Śpiewa i w srebrne struny do wtóru uderza
I pieśń cudowna płynie w słoneczne bezbrzeża
Dźwięczna, jak sfer nadgwiezdnych
harmonijne chóry...

Tam – gdzieś w dole, na łanach
strudzeni żniwiarze
Prostują się, podnoszą uznojone twarze,
Potężnej pieśni w niemym słuchają zachwycie:

Oni – zawsze nad niską pochyleni glebą,
Wzrok przesłoniwszy ręką, patrzą teraz w niebo
I duszą zatonęli na chwilę w błękicie.

WENUS MILOŃSKA

Dla niej helleńscy pieśniarze
Przy złotostrunej cytarze
Płomienny śpiewali psalm;
Dziewice na jej podnóże
Słały narcyzy i róże
I pęki zielonych palm.

I dla niej pod kolumnadą
Wstęgą przewijał się bladą
Kadzideł błękitny dym;
Z mórz dla niej słońce wstawało,
Aby świątynię jej białą
Różowić promieniem swym.

Do niej przez nieba lazury
Gołębi leciały sznury
Na skrzydłach bielszych nad śnieg;
Do niej o słońca zachodzie
Z białymi żaglami łodzie
Niosły pielgrzymów na brzeg.

I stała w blasku i chwale
Cudna, przegięta niedbale
Wśród marmurowych tych ścian;
Z cichym uśmiechem na twarzy
Słuchała morza, co gwarzy —
Zrodzona z perłowych pian.



BAJKA O KASI I KRÓLEWICZU.

Nie miała Kasieńka ojca ani matki,
Ino miała oczy, jako dwa bławatki,
Usta jak dwie wiśnie, liczka jak dwie zorze,
I na służbie była Kasia we królewskim dworze.
Oj Kasiu, Kasieńko!

I musiała w zimie od samego rana
Rąbać kłody drzewa na drobne polana
I myślała sobie: „Jak zrąbię te kłody,
Któż przy ogniu się ogrzeje?
Ten królewicz młody...“
Oj Kasiu, Kasieńko!

I musiała latem w gorące południe
Iść po jasną wodę z konwiami pod studnię
I myślała sobie: „Jak naniosę wody,
Któż się to w niej będzie kąpał?
Ten królewicz młody...“
Oj Kasiu, Kasieńko!

I co noc musiała szorować na czysto
Szczerozłote schody, podłogę srebrzystą
I myślała sobie: „Jak wymyję schody,
Któż to po nich będzie chodził?
Ten królewicz młody!„
Oj Kasiu, Kasieńko!

— Gdy na łowy jechał z dworskimi i z psiarnią,
Wychodziła Kasia na strych nad piekarnią,
Wyglądała za nim dymnikiem ze strychu,
Płakać jej się czegoś chciało —
po cichu, po cichu —
Oj Kasiu, Kasieńko!



II.

Cóż na to powie pan kucharz,
Iż go ty, Kasiu, nie słuchasz?
Posłał cię co żywo
Do lochu po piwo,
A ty go, Kasiu, nie słuchasz.

Uszła przez ciemną drewutnię,
Bo ją coś gnało okrutnie
W te gaje, dąbrowy
I w bór ten sosnowy —
Tak ją coś gnało okrutnie!

Czy po stokrocie, po dzwonki
Biegniesz, Kasieńko, na łąki?
Oj dzwonki, stokrocie
Nie tobie, sierocie —
Nie biegnij, Kasiu, na łąki!

Czy na poziomki, maliny
Idziesz do leśnej gęstwiny?
Maliny tam w borze
Nie dla cię, nieboże —
Nie chodź do leśnej gęstwiny!

Co jej tam kwiatki, jagody?
Ino królewicz ten młody!
W te gaje, dąbrowy,
W bór ciemny na łowy
Jedzie królewicz ten młody.

Jemu korona ze złota,
A tobie, Kasiu, robota,
Nie takiej sierocie
Królewicz we złocie
— Tobie, Kasieńko robota!

Dźwigaj ty wodę i drewno,
Jemu się żenić z królewną,
Na nic twa uroda
I łez twoich szkoda —
Żebyś ty była królewną!...



III.

Huczą trąby po lesie,
Rozgłos wiatrem się niesie
Na cztery świata strony.
Jedzie królewicz, jedzie
Przed panami na przedzie,
A konik pod nim wrony.

Migło mu się przez zieleń,
A on myślał, że jeleń:
Śmignęła prędko strzała...
Trafił Kasię w pierś lewą
I upadła pod drzewo,
Krwią się ciepłą zalała.

— „Com ja zrobił! Niech zginę
Za tę biedną dziewczynę!
Biegajcie w mig dworzany
I przywiedźcie ze dwora
Najstarszego doktora,
Bo krew uchodzi z rany".

— „Szkoda dla mnie doktora:
Jestem Kaśka ze dwora!
Ino tego się boję,
Co pan kucharz mi powie,
Kiedy o tem się dowie...
Dostanę ja za swoje!“

— „Nie bój się ty nikogo,
Ino powiedz, niebogo,
Czy bardzo boli rana?
Takaś blada, jak chusta,
Takie sine masz usta,
Kasieńko ty kochana!“

— „Troszkę boli, nic prawie...
Lecz nie klękaj na trawie,
Mój królewiczu młody,
Bo tu pełno krwi świeżej,
A ty w złotej odzieży,
Narobisz sobie szkody“.

— „Niech tam odzież ubroczę,
Milsze mi twe warkocze,
Niźli korona złota —
Niech się odzież ubroczy,
Milsze mi są twe oczy,
Niż dech mego żywota.

Za łzy twoje i męki
Naści pierścień z mej ręki:
Turcy mi go przysłali –
Za krew twoją rumianą
Niechże ci się dostaną
Cztery sznury korali".

– „Jam nie skarbów łakoma,
Daj się objąć rękoma,
Uczyńże mi tę wolę:
Pókim żywa, nie żałuj
Ino całuj mnie, całuj,
Królewiczu sokole!"



CHOPIN: PRELUD NR: 15



Z tchnieniem wiosny melodya płynąca
Skąd ma dźwięki czarowne i tony?
Czy gwiazd promień o promień się trąca?
Czy to wonnych traw szemrzą miliony?
Czy o tarczę srebrzystą miesiąca
Uderzają chmur skrzydła powiewne?
Czy sam księżyc po modrych fal toni
Strugą drżącej światłości swej dzwoni?

Może pienia zawodzi te rzewne
Skryta w gąszczach słowików gromada —
Może rosa kroplami opada
Na zaledwie rozkwitłych drzew liście,
Co z pękniętych wychodzą obsłonek?
Może wietrzyk wilgotny w przelocie
Śnieżnobiałych konwalii gnąc kiście,
Bije dzwonkiem perłowym o dzwonek?
Może ze snu zbudzone stokrocie
Drobne płatki stulają do środka...?
Czyli może to serce me własne
Taką nutę zaklętą wydzwania?
— Ja sam nie wiem, skąd piosnka ta słodka
Bierze dźwięki urocze a jasne,
Pełne czarów i pełne kochania...
Dzwoń mi pieśni, dzwoń pienie łabędzie!
Niechaj słyszę, choć w grobie już zasnę:
— „Ona kocha, jest twoją — i będzie!“

A jeśli pieśni tej słowa
Kłamią cudnymi dźwiękami?
I kłamie wiosny wymowa?
Jeżeli księżyc mnie mami
Srebrzystem swojem obliczem?
Jeśli, co mówią gwiazd krocie
Kłamstwem, a więcej jest niczem?
Jeśli konwalje, stokrocie
Skłamały — wszystkie skłamały?
Wtedy przekleństwo wam kwiaty,

I wam śpiewacy wy leśni
I wam przekleństwo, gwiazd światy!
Przekleństwo tobie, o pieśni!...

Smutku ptak mi ponad głową
Czarne skrzydła swe rozpina
I zawodzi pieśń grobową;
Ziemia leży trupio sina
Nad nią gwiazdy, jak gromnice
Mętnem, bladem światłem płoną;
Słońce trwożne skryło lice
Poza rdzawych chmur zasłoną...
Skąd ten wicher? — Z taką mocą
Rozszalałe śle podmuchy,
Szarpie, targa gwiazd łańcuchy...
Gwiazdy mdleją, drżą, migocą,
Wicher niemi w takt kołysze,
Gwiazda się o gwiazdę trąca:
Dzwonią, jęczą — słyszę... słyszę
Szczęk okropny gwiazd tysiąca!

Pękły! W czarnych sfer otchłanie
Zapadają gwiazd okruchy,
Gdzieś w ciemności oceanie
Szumi, huczy wicher głuchy.
Tarcza słońca popękana
W mgieł czerwonych kręgu tonie,
Brocząc jakby krwawa rana
Na nieskończoności łonie:

Zesiniało i pobladło,
Zatoczyło się i spada,
Mknie w pomrokach, jak widziadło –
Zgasło! – Biada, biada, biada!
Obłąkana gdzieś w przestworze
Ziemia chwieje się podemną...
Och, runęła w bezdeń ciemną!
– Boże, gdzie Ty jesteś, Boże!?

Czy to sen jest, gdzieś w raju wyśniony?
Znów melodya ta słodko płynąca,
Znów te dźwięki czarowne i tony —
Nic harmonii nie miesza, nie zmąca.
Na mem czole czy dłoń Cherubina
Taka lekka, tak miękka i drżąca? —

Ach, to ty – to ty, moja jedyna!

Gdzież się podział świat okropnych mar?
Tak mi dobrze, woń twych czuję tchnień,
Źrenic twoich ogarnia mnie czar —
O, nie odchodź, zostań ze mną już
I pod skrzydeł weź mnie swoich cień,
Jako Anioł-Stróż!

NOKTURN

Nim świt ze srebrnych wybłyśnie wrót
I trawy uperlą się rosą,
Nim róż purpurą zakwitnie wschód
I słońce swą twarz złotowłosą
Wykąpie w chłodnej topieli wód,
Nim ptaki swój hejnał podniosą,

Nim kołysana wiatrami łódź
O kwietne potrąci wybrzeża —
Na szyję ty mi ramiona rzuć,
Wiośniana ty moja i świeża!
Chcę pierś twą młodą przy mojej czuć
I czuć jak w niej serce uderza...

Lubieżnym ruchem fala się gnie
I w dali rozlewa się niemej,
Nabrzeżnych lasów odbija pnie
I złotych gwiazd chryzantemy;
Płyniemy, dokąd? — nie pytaj mnie...
Gdzie nurt nas poniesie — płyniemy.

Przed łódź na wodę gdy rzucisz kwiat
Za jego łódź będzie szła śladem,
Za mgłą, co smugę lotnych ma szat
I mokrych brylantów dyadem —
W zaczarowany płyniemy świat
Pod niebem gwiaździstem a bladem.

Szuwary wiotką podnoszą kiść
I w cichym szeleszczą pogwarze,
A wodnych lilii szeroki liść
Rozkłada się w płaskie wachlarze,
Jak gdyby ktoś miał ku nam tu iść
Po sennym jeziora bezmiarze.

Kto? – nie wiem... Czujesz wilgotny chłód?
Ptak nocny łopoce się w lesie,
Czernieje nagle zwierciadło wód
I liść nenufarów tych gnie się...
Po liściach śliski czy słyszysz chód?
– Strach nocny nad wodą się niesie!..



NOKTURN

Idę sam jeden pośród czarnej nocy...

Wciąż idę — nie wiem czem, ni dokąd gnany,
A smutek na mnie głuchy i sierocy
Wieje z tych ulic przez mgliste tumany.

Na kształt gwiazd krwawych w tęczowej oprawie
Latarnie płoną w obręczy świetlanej,
Drgającej we mgle, niby óka pawie.

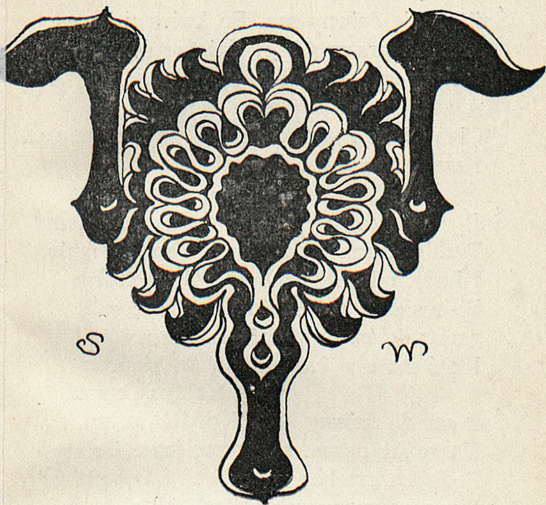
Ulice puste, jakby kurytarze
Więzienne... Idę w pół śnie, pół na jawie
I spojrzeć na bok ledwie się odważę.

Bo mi się zdaje, że na każdym skręcie
Widzę dziwaczne, nieznajome twarze,
Które mnie wzrokiem ścigają zawzięcie.

I dalej biegnę — ale dokąd? Po co?
Czego ja szukam w tych mroków odmęcie?
Jakieś tęsknoty we mnie się szamocą,

Jakieś gorące bezbrzeżne tęsknoty
Za światłem, życiem, spokojem i mocą —
I próżno — próżno sen duszy mej złoty

Ścigam bezgwiezdną otoczony nocą...

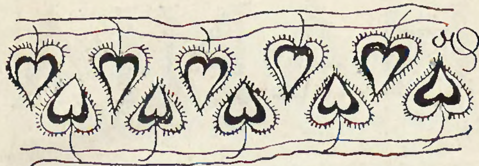


Śnił mi się dziwny sen. Po kwietnej łące
Szedłem przez jaskry i śnieżne stokrocie
I piłem wiosny oddechy pachnące,
A ptaki jakieś ogromne w przelocie
Cień białych skrzydeł kładły mi na głowę...
I szedłem zwolna po kwiecistej łące
Na życie nowe.

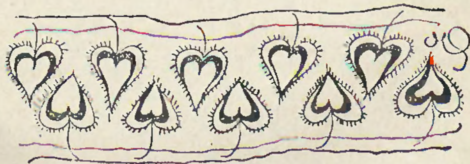
Śnił mi się dziwny sen. W każdym kielichu
Tych polnych kwiatów żywe serce drgało
I kwiat mi każdy mówił coś po cichu;
Po rosie ku mnie szło przez łąkę całą
Szeptanie kwiatów dalekie, echowe,
I coś mnie w każdym wołało kielichu
Na życie nowe.

Śnił mi się dziwny sen. Z oddali ku mnie
Kochanka dawna szła przez jasne kwiaty,
Podobna greckiej wysmukłej kolumnie
I w rozpuszczonych fałdach białej szaty
Kwitnące niosła gałązki wierzbowe —
Chciałem ją wołać:
„Chodź ku mnie, chodź ku mnie
Na życie nowe!"

Prześnił się dziwny sen. Oto mnie budzi
Deszcz, co w jesienną noc po rynnach dzwoni.
Gdzie łąka? kwiaty z sercem jak u ludzi?
Kochanka dawnych lat?... Nie myśleć o niej!
Widzenia kwietnych snów, bywajcie zdrowe
Nie mego serca z letargu nie zbudzi
Na życie nowe!



Było, przeszło... Jak dziś pomnę
To słoneczne popołudnie
I cienisty, chłodny park...
Wody jasne i ogromne
I łabędzie, co tak cudnie
Śnieżnopióry gięły kark.
Pusto było i bezludnie,
Niebem chmury szły bezdomne,
Tonią — cień od śpiących bark...
Wszystko w oczach mam przytomne —
Miną wiosny, przejdą grudnie,
Żar palący twoich warg
Na mych ustach nie ochłódnie,
Nie zapomnę — nie zapomnę!...



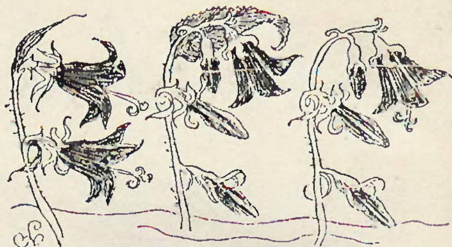
HANIA



I.

Leci piosenka moja skrzydlata
Na krańce świata
Przez mroczny bór,
Nad jasne pola, nad modre rzeki,
Gdzieś w kraj daleki
Za grzbiety gór...

I śpiewna płynie jaskółczym lotem
W powietrzu złotem
Błękitnych dróg —
Aż przyleciała moja piosenka
I kornie klęka
U twoich nóg.



II.

Królewna moja idzie przez łąki,
Nad kwieciem się pochyla
I zbiera małe dzwoneczki lila,
Te blade polne dzwonki.

A każdy dzwonek dźwięczy i dzwoni
W liljowe swe kielichy
O tem, co dzisiaj wśród nocy cichej
Mówiłem gwiazdom o niej.

Królewna moja idzie przez łąki,
Dzwonienia ich nie słyszy,
Nie wie, com gwiazdom rzekł w nocnej ciszy
I tylko zbiera dzwonki.



III.

Nie będę z tobą mówił o wiośnie:
O tem, jak drzewa puszczają pąki,
Jak złoty jaskier nad wodą rośnie
I w jasne niebo lecą skowronki,
Jak rozorane, pachnące role
W słońcu oparem srebrnym się kurzą—
O tem ja milczeć przy tobie wolę,
Rzekłbym dwa słowa... za dużo!



IV.

Idzie wiosna i sieje pył złoty
Słonecznych promieni,
Wierzby dźwięczą wróblimi świegoty
W gałązek zieleni,
Ziemia kwitnie, iskrząca się rosą
Przez łzy się uśmiecha,
Ciepłe tchnienia z nad roli gdzieś niosą
Zapachy i echa...

Ty, jak wiosna — tak idziesz siejąca
Czar słodki oczyma,
Czar, co struny mej duszy potrąca
I pierś moją wzdyma,
Coś mi w sercu się śmieje i kwitnie,
I śpiewa i płacze —
Tak mi w oczach słoneczno, błękitnie,
Gdy ciebie zobaczę.



V.

Choć nie mam pól, choć nie mam łąk,
Ni lasu całych włók —
Mam nieba strop i świata krąg
Aż gdzieś po tęczy łuk.

Mam złoto gwiazd, purpurę zórz
I perły mlecznych dróg,
Szmaragdy niw, szafiry mórz,
Opale mglistych smug.

Mam każdy pąk rozkwitłych drzew
I róż pachnący dech,
I lasów szum i ptaków śpiew
I tysiąc brzmień i ech.

Lecz wszystko dam: ten cały świat
I pieśni srebrny zdrój
I wszystek czar młodzieńczych lat
Za pocałunek twój!



VI.

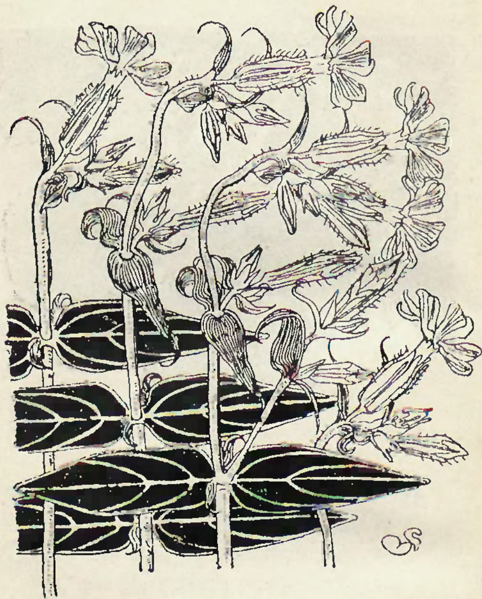
Gdy mi się wszystko w koło mroczy,
Gdy się powszednim trudem znużę —
Wtedy mi patrzeć daj w swe oczy,
W oczy swe czarne, ciche, duże...

Kiedy się ugnę w twardej męce
I gdy w bezsilnym smutku stoję —
Ty mi na czole połóż ręce,
Ręce swe miękkie, słodkie, moje!



VII.

Ani ty moja, anim ja twój:
    Próżno mi, Haniu, o tobie śnić,
    Pryśnie marzenia pajęcza nić
I snów tęczowych prześni się rój,
    Ja w swoją drogę, ty w swoją idź,
    Próżno mi, Haniu, o tobie śnić,
Ani ty moja, anim ja twój!



VIII.

Na kwitnącej, na jabłoni
Słowik dzwoni
Tak srebrzyście, tak miłośnie
O tej wiośnie,
O młodości, o kochaniu...
— Słyszysz, Haniu?



IX.

Wiatry zwiały
Ten kwiat biały
    Z pachnącej jabłoni,
We mgle bladej
Stoją sady
    I słowik nie dzwoni.

Później, wcześniej
Sen się prześni
    I kochać przestanę...
— Pod powieką
Łzy mnie pieką,
    Łzy niewypłakane!

X.

Szumny wichrze głuchych pól
Poleć jak najdalej,
Zabierz z sobą gorzki ból,
Co mnie w sercu pali.

Zabierz z sobą gorzki ból,
Niech przestanie boleć —
Szumny wichrze głuchych pól,
Na kraj świata poleć!


S.M.

Dotąd widzę to wiosenne rano
I tę łąkę kwiatami usianą,
Białymi kwiatami...
W słońca grały złotych muszek roje
I byliśmy sami,
Wśród zapachów, ciszy i promieni.
I w milczeniu szliśmy obydwoje
Tchnieniem wiosny młodej upojeni,
Na pół tęskni, na pół uśmiechnięci...
— Widzę dotąd jasne oczy twoje —
Wszystko przeszło — w oku mi się kręci
Łza!

I sad widzę cały w śnieżnej bieli,
Gdzieśmy razem w południe siedzieli
Pod kwietną czereśnią —
Chór ptaszęcy śpiewał w niebogłosy,
Cały sad bił pieśnią,
Czasem z gęstwy wołała kukułka.
Słońce blaskiem złociło niebiosy
I przez drzewa kładło jasne kółka
Na stokrocie, na skroń twą dziewczęcą,
Na murawę i na twoje włosy...
Wszystko przeszło... w oczach mi się kręcą
Łzy, łzy, łzy!



NA DZIEŃ ZADUSZNY

Dusza dziś ze mnie wychodzi płacząca
I pióra kąpiąc w mroków oceanie,
Leci — wierzchołki lip skrzydłami trąca,
Aż na cmentarnych dzwonnicach przystanie.
Dzwonom na serca ręce kładzie obie
I słucha, w spiżu chcąc odnaleść tętna
Serc, które w proch się rozsypały w grobie.

Bo czyliż dzwonów pieśń przewlekła, smętna,
Bijąca w niebo kręgów dźwięcznych falą
Metalu tylko pustym jest rozbrzękiem?
Czy się w niej duchy umarłych nie żalą?
Czy się w niej wyciem nie skarżą i jękiem
Ci, których wszyscy żywi zapomnieli?
— I dusza moja zadumana o tem
Na dzikich grobach klęka, cała w bieli —
Na grobach, które porosły blekotem
I pokrzywami; a zbutwiałe krzyże
Chylą się, skrzypiąc na jesiennym wichrze,
A wicher na nich gra, jakby na lirze...
Jest w suchych liściach szept modlitw co cichsze
I żałośniejsze, niż ludzkie pacierze
I jest zaduszna jakaś antyfona
W szeleście zżółkłych traw i drzew tych szmerze,
Co wyciągają wychudłe ramiona
Nad mogiłami pustemi, w mgłę siną.
I łzy wilgotne ściekają po próchnie
Omszonych krzyżów, i po głazach płyną
I cały cmentarz, zda się, że wybuchnie
Płaczem...
Skrzydłami powłócząc po ziemi
Powraca dusza moja żalem zdjęta,
I płacze cicho nad grobami temi,
O których żadne serce nie pamięta.



Był wieczór Paschy: w milczeniu głębokiem
Siedli napoju pożywać i jadła –
Wieczernik szarym napełniał się mrokiem,

Pół-jasność zmierzchu, mglista i wybladła
Na stół białymi zasłany rańtuchy
I na ich twarze łagodnie się kładła.

I cisza była; a w tej ciszy głuchej
Przez kratę okna powiew coraz rzadszy
Gnał z pól zielonych wiośniane podmuchy.

Pośród rybitwów tych ubogich siadłszy,
Chleb w obie ręce wziął i kielich wina
I zadumany w twarze uczniów patrzy.

A w tych źrenicach Człowieczego Syna
Mistycznych brzasków grała jasność złota
I myśl ogromna jakaś – i jedyna...

Z ich oczu – serca patrzała prostota:
Pierwsi pić mieli z Kielicha Miłości,
Pierwsi pożywać mieli Chleb Żywota,

Iż byli, jako ptaki leśne – prości.

Z barłogu mego, z czarnej nędz otchłani
Do ciebie wołam krwawym serca płaczem,
Jako żeglarze wichrami chłostani,
Jako pielgrzymi w zbłąkaniu tułaczem —
Z głębi mej duszy w przestwory gwiaździste
Do Ciebie wołam krwawym serca płaczem:
Chryste, o Chryste!

I choć przesytem zmącone aż do dna,
Serce ku Tobie drży i Ciebie pragnie,
Jak ta spragniona rosy lilia wodna,
Co, łodygami grzęznąc w mętnem bagnie,
Twarz tęskną zwraca na zorze ogniste —
Serce ku Tobie drży i Ciebie pragnie,
Chryste, o Chryste!

Krom Ciebie niebo i ziemia mi zbrzydły,
Ty jeden koisz smutki dusz sieroce,
Więc jak ptak błędny z podartemi skrzydły,
Do nóg twych padłszy, duch mój się trzepoce
I wznosi na Cię oczy bolem szkliste...
Ty jeden koisz smutki dusz sieroce,
Chryste, o Chryste!

Usta do stóp Twych przebitych przyłożę,
Słodki Twych oczu spokój mnie ogarnie —
Znękany jestem, w nadchmurne przestworze
Rwałem się myślą i spadałem marnie,
Ścigałem ziemskich złud ogniki mgliste —
Słodki Twych oczu spokój mnie ogarnie,
Chryste, o Chryste!

Chwytam się Ciebie rękoma drżącemi,
Nie daj mi zginąć
w ciemnościach bezbrzeżnych!
Prochem jest ziemia, a jam prochem ziemi,
Lecz mnie nie strącaj
z bieli szat Swych śnieżnych —
Stwórz we wnętrznościach moich serce czyste,
Nie daj mi zginąć
w ciemnościach bezbrzeżnych,
Chryste, o Chryste!

Jam kwiat więdnący na życia łodydze,
Weź mnie do Siebie,
bom już pójść stąd gotów,
Dość mi obłędów, które wkoło widzę,
Dość mi już własnych upadków i wzlotów,
Weź mnie na ciszy łono wiekuiste,
Weź mnie do Siebie,
bom już pójść stąd gotów —
Chryste, o Chryste!



Biedne pieśni mojej duszy —
Co się z wami stanie?
Czy was przyjmą ludzkie uszy
I czy jaką pierś poruszy
Śpiewne wasze granie?
Może wicher was rozprószy,
Może przebrzmi w ciemnej głuszy
Śpiewne wasze granie...
Biedne pieśni mojej duszy,
Co się z wami stanie?

Zbierałem ja wasze głosy
W radościach i bolach,
Jako kwiaty pełne rosy,
Jak złociste, szumne kłosy
Po łąkach i rolach —
Szeptały mi wasze głosy
W każdej wierzbie srebrnowłosej,
W brzozach i topolach,
Szły skowronkiem pod niebiosy,
Echem grały w polach.



I szły ku mnie cichą nocą,
   Nocą księżycową,
Nad wodami, co się złocą,
Po tych gajach, co szczebiocą
   Słowików rozmową
I swą skargę, swą sierocą
Zawodziły z dziwną mocą
   Ponad moją głową —
Zbierałem je cichą nocą
   Nocą księżycową...

Zbierałem je w wichrów szumie
   I w milczącej głuszy
I w zachwycie i w zadumie
I w tym żalu, co nie umie
   Wyśpiewać się z duszy...
I nosiłem w ludzkim tłumie,
Który pieśni nie rozumie,
   Pełne dźwięków uszy —
Wypłakałem was w zadumie,
   Pieśni mojej duszy...

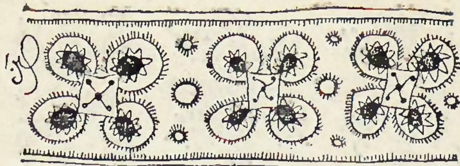


MOJEJ ŻONIE



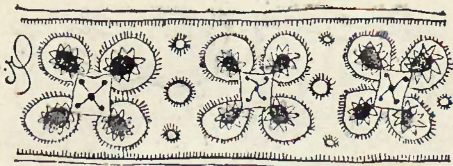
Wyrosłaś tak
Jako ta srebrna brzózka,
Co listki wiatr jej muska —
Jak polny mak,
Co czerwoną sukienką
Pośród łanu się pali —
Jak ta jarzębina,
Co pod Bożą Męką
Cała w krasie korali
Gałązeczki ugina —
Jak ten kwiat jabłoni
Co w śnieżystej bieli
Różowo się płoni —
Jak dziewanna złocista,
Gdy ku słońcu wystrzeli
W królewskiej przyodziewie...

Tak świeża wyrosłaś i jasna i czysta,
Ale i anieli
Odgadnąć nie mogą
I sam Pan Bóg nie wie
Dla kogo? dla kogo?



Patrzę na ciebie, jak w żywy cud,
Jak na różany słońca wschód
I serce moje pyta,
Czyś ty zrodzona z morskich pian,
Z szumiących słonych wód
Jak Afrodyta?!

Rodził cię szumny pszeniczny łan
I srebrna fala żyta
Z zielonych miedz i kłośnych zbóż,
Jak gdyby z toni spienionych mórz
Uroda twa wykwita
I stoisz, siostra tych polnych róż,
Poranną rosą zmyta
I cała w blasku wschodzących zórz
Jak Afrodyta.

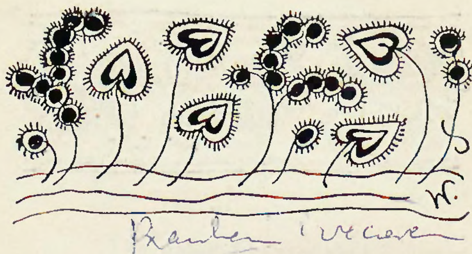


Leżę w nocy długo
I zasnąć nie mogę,
Miesiąc białą smugą
Pada na podłogę.

W pół-świetle pół-ciemnie
Widzę oczu parę,
Patrzą prosto we mnie
Rzewne oczy szare.

Choć powieki zmrużę,
Śnią mi się w pół-jawie
Te siwe, te duże
Patrzące ciekawie.

Wy oczęta jasne
W księżycowej smudze,
Widzę was nim zasnę,
Ujrzę, gdy się zbudzę.



Śpiewaj jej skowronku
Od samego rana,
    Kiedy włosy czesze w słonku
Moja ukochana.

Śpiewajże jej we dnie,
Kiedy wyjdzie w pole
    Póki jasny dzień nie zblednie,
Że mam ku niej wolę.



Już się do snu kładzie
Zamyka okienko,
    Siądź-że ty słowiku w sadzie
I wyciągaj cienko.

Srebrny miesiąc świeci
Na tej białej ścianie,
    Niechaj przez sen ją doleci
To twoje śpiewanie.

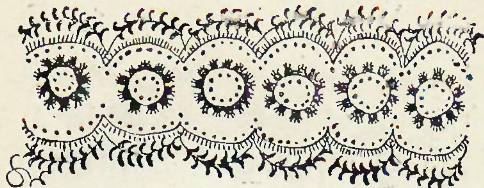
Z kwitnącej jabłoni
Leć na kwietną wiśnię,
    Głos twój niech jej o mnie dzwoni,
Może się jej przyśnię.

Leć na kwietną wiśnię
A z wiśni na gruszę,
    Śpiewaj póki świt nie błyśnie,
Że mi wzięła duszę.

Pod siwą wierzbą siedzę,
Ona śród zbóż, przez miedzę
Idzie ku mnie z oddali
I biją krasne blaski
Od czerwonej zapaski,
Co jak mak się pali.

Nadchodzi gibka, chyża
I kłosy muska dłonią.
Łany się przed nią kłonią,
Kłos każdy się uniża
I pokłon przed nią bije.
Ten ją całuje w szyję
Złocisty kłos lubieżny,
Tamten się ku niej tuli
I trąca po koszuli,
Po tej koszuli śnieżnej.

Wita mnie uśmiechnięta
Słonecznym swym uśmiechem
Tak cicha, jasna, święta,
Że mi się zdało grzechem,
Iż śmiały tknąć ją kłosy,
Swawolne kłosy żytne...
Ja tylko w jej oczęta
Pozieram, jak w niebiosy
Słoneczne i błękitne.

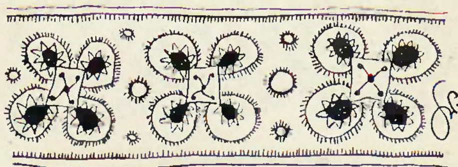


U matusi

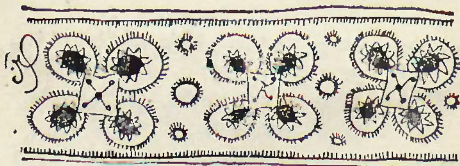
U matusi, u starej,
Widziałem cię dziewczyno,
Jakeś lepiła gliną
W bielonych ścianach szpary.

Choć nie mówię nikomu,
Da Bóg za rok, dwa lata,
Jak stanie moja chata
Będziesz lepić w mym domu.





Choćbym nie chciał kochać muszę,
Serce moje przy dziewusze,
Przy niej wszystkie myśli moje,
Już my dla siebie oboje—
Oddam duszę za jej duszę
I za siwych oczu dwoje.



Poszła ze mną za dom do ogródka,
Usiedliśmy na ławce pod ścianą,
Była trwożna i taka cichutka,
Kiedym patrzał w jej twarz ukochaną.

Lipa kwitła przed nami w ogródku
I pachniała drobnem kwieciem złotem...
Gdym za rękę brał ją pomalutku,
Serce we mnie waliło jak młotem.

„Chciałabyś mnie?“
— „Myślę, żebym chciała!...“
„Wierz mi, Jadwiś, że nam dobrze będzie“.
— „Wierzę Panie!...“ A lipa słuchała
I słuchały nas kwiatki na grzędzie.

I nie kwiatki i nie lipa sama,
Całe niebo słuchało nas z góry,
I błękitna rozwarła się brama
I Bóg słuchał i anielskie chóry.

Przypiliśmy na zaloty
I pobrać się mamy,
Kupię jej na gorset lamy,
W srebrny liść i złoty.

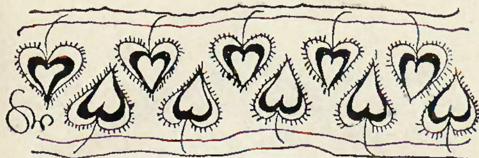
Dno zielone, złote liście
I czerwone kwiaty,
Jak już ma być to bogaty,
Ubrany rzęsiście.

Pojechałem do Krakowa
Po dwa łokcie lamy,
Sprzewracałem żydom kramy,
Że niech Bóg zachowa!

Zastałem ją u roboty
Na polu przy drodze
Skaczę z wozu i podchodzę
Z sztuczką lamy złotej.

Co raz pojrzy na te róże
Na tle złotolitem,
To znów ku mnie lśnią błękitem
Siwe oczy duże.

Słońce zaszło, miesiąc wstaje,
Cała droga pusta,
A Jadwisia słodkie usta
Sama mi podaje.

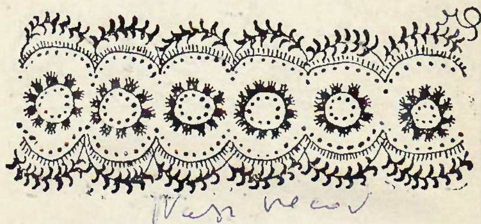


Gorsetek

Nie miałaś do tej pory
Na stroje, na ubiory
Dziewczyno ty uboga —
Nie w kramach aksamitu,
Ale z niebios błękitu
Kupiłbym ci u Boga.

Ten gorsetek anieli
Do roboty-by wzięli
Dla ciebie, swej siostrusi
I na niebios błękicie
Z gwiazd-by dali naszycie,
Bo godnie być już musi.

Lecz ty nie wiesz co pycha:
Szłabyś skromna i cicha
Nawet w takim gorsecie —
Ty anielska pokoro,
Ciebie w gwiazdy ubiorą,
Ale nie na tym świecie!



Na tej ławce tam pod ścianą
Usiedliśmy znów
I w noc letnią, z gwiazd utkaną
Patrzymy bez słów.

Moja ręka na jej ręku
I przy twarzy twarz —
Tak po cichu, cichusieńku
Mija wieczór nasz.



Źródło

Porozkwitały białe lilije,
Pod lilijami źródło się kryje,
Przeczyste źródło i świeże zdroje,
Z których nie piły usta niczyje.

Ja się tą wodą pierwszy napoję,
Na spiekłem czole ochłodzę znoje,
Krwawiące serce w źródle obmyję,
Spragnioną duszę moją ukoję.

Już nigdy, nigdy dopóki żyję,
Z innej krynicy niechaj nie piję,
Dla mnie tu płyną przejrzyste zdroje
I dla mnie kwitną białe lilije.

Nad jasną wodą schylony stoję
I ciche źródło zmącić się boję,
Niech zawsze, zawsze tak czyste bije
W duszy twej świętej — dziewczę ty moje!



Przy żarnach

Słońce zaziera smugą promieni
W drzwi uchylone do mrocznej sieni,
Dziewczyna moja na żarnach miele,
Ja czasem ku niej oczyma strzelę,
Ona co spojrzy, to się rumieni
A słońce blaski do nóg jej ściele,
Świetlane blaski wśród mrocznej sieni.

Co chwila rękę zanurza w ziarnie,
Dorzuci żyta, mąkę wygarnie;
Słońce zaziera w drzwi uchylone,
Robi z jej włosów złotą koronę,
Moja królewna stoi przy żarnie,
Z uśmiechem w moją spogląda stronę
Dorzuci żyta, mąkę wygarnie.

— „Moje wy skarby, wy moje krocie,
Ja ci pomogę przy tej robocie!"
I głośniej huczy turkot kamieni,
Starliśmy żyto i cicho w sieni
A my stoimy w słonecznem złocie,
Jednym uściskiem długim złączeni,
Usta na ustach w słodkiej pieszczocie.



Scherzo

Tamci jedzą wieczerzę,
Ja siedzę przy Jadwince
Na malowanej skrzynce
I pokusa mnie bierze,
Po tem liczku, po gładkiem
Pocałować ukradkiem,
Skoro nikt nie spostrzeże.

Ale ona się wstydzi,
Nuż kto jeszcze uwidzi!
— Darmo błagam oczyma,
Patrzy na mnie tak srogo,
Ramionami tak zżyma,
Że błagania i targi
Widno nic nie pomogą.

Co?! Za szyję mnie trzyma?
Do warg mi lgną jej wargi?!
Bo już niema nikogo!

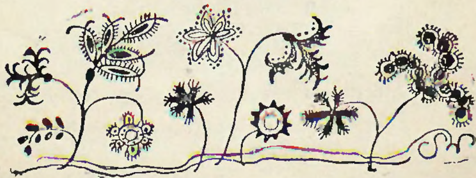


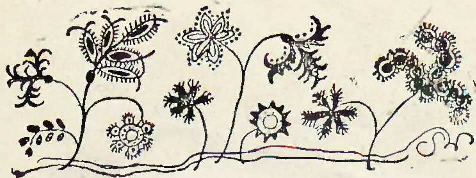
Gdy zostaniemy sami
I patrzę na Jadwisię,
To myślę tak czasami,
Że baśń mi dawna śni się –

Że to z Rusałek jedna,
Nadludzki dziw urody,
Co do mnie wyszła ze dna
Zaklętej leśnej wody.

Rzuciła potajemnie
Odludne uroczysko
I rozkochana we mnie,
Usiadła przy mnie blisko.

Rzuciła dziwów kraje,
Gdzie rosną złote drzewa
I dzwonią całe gaje,
Gdy liśćmi wiatr powiewa.





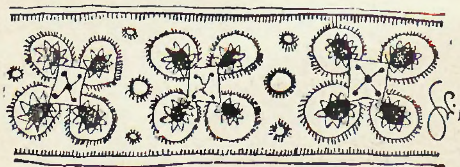
Rzuciła cudów światy
Za ludzką miłość moją,
Gdzie śpiewające kwiaty
W tęczowym blasku stoją...

Gadają ludzie starzy,
Że padnie trupem śmiałek,
Który się spojrzeć waży
W czarowny wzrok Rusałek.

Niech zaraz śmiercią zasnę,
Na miejscu niech zostanę,
Lecz patrzeć chcę w twe jasne
Oczęta rusałczane...





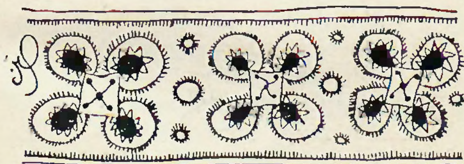


Oczy

Pod trawami, co z wiatrem się trzęsą
Świeci głębia tej wody przeźroczej –
Tak ukryte jaśnieją pod rzęsą
Twe głębokie i przejrzyste oczy.

Jak w tej wody niebieskiem przeźroczu
Odbijają się niebios błękity –
Tak w niebieskiem spojrzeniu twych oczu
Raj miłości jaśnieje odbity.

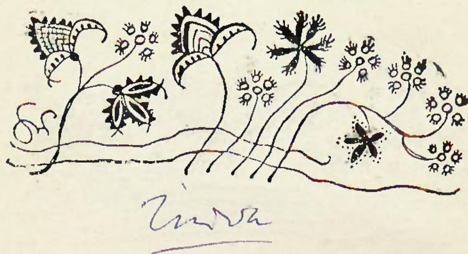




Pod oknem

Świeć, świeć ty jutrzenko
Jadwisi w okienko
Niechaj ze snu powstanie.

Pójdź, pójdź Jadwisienko,
Otwieraj okienko,
Daj pocałowanie!



Oj żniwa, złote żniwa,
Zbielała już pszenica!
Pod sierpem jej ubywa —
Jadwinka przodownica
Jak róża kwitnie żywa,
Wiatrek jej chłodzi lica,
Słoneczko je ozłaca,
A rumieni je praca.

Ze sierpem się pochyla,
Prostuje się co chwila
I pozad się obraca
I wolnym ruchem ręki
Na sierpie niesie pęki
Kłosistych złotych pszenic —
A nieraz ku mnie błyśnie
Spojrzenie jasnych źrenic
I usta jak dwie wiśnie
Uśmiechną mi się cudnie.



Południe, już południe!
Przyleciał wiatr od miasta
I bije już dwunasta
I słychać jak trębacze
Z Maryackiej grają wieży...

Gdzie siwa wierzba płacze
I woda pod nią bieży,
Tam siądźmy na południe,
Niech czoło nam ochłódnie,
Niech sierp na garściach leży,
Niech szumi wiatr pszenicą...
-- Szkoda że jej ubywa,
Mój polny kwiatku świeży,

Jadwinko przodownico,
Skończą się z tobą żniwa!

Moje ty słoneczko, moje ty kochane,
Już o tobie myślę, wprzód nim rano wstanę,
Już o Tobie myślę, ledwo się obudzę,
Żeś jeszcze nie moje, żeś jest jeszcze cudze.

Niejedna niedziela jeszcze minąć musi,
Zanim ciebie wezmę z domu od matusi,
Nim ci druhny przypną wianeczek u czoła,
Zanim nas posadzą po dwóch stronach stoła,
Nim tatuś nam w ręce włożą pół-bochenka,
Nim tobie u progu zaśpiewa druhenka,
Nim na pożegnanie zaśpiewają chórem
A drużbowie wdzieją czapki z pawiem piórem.

Oj Maryacka wieża wygra godzin wiele,
Zanim z tobą klęknę w Maryackim kościele
I te żniwa przejdą i wieniec kłosiany,
Zanim nam zagrają Maryackie organy,
Nieraz się na niebie odmieni miesiączek,
Zanim my dojdziemy do ślubnych obrączek
I niejedne zorze zagasną różowe,
Zanim tobie włożą czepeczek na głowę.

Jakże ja doczekam, jakże ja dostoję,
Żebyś ty, słoneczko, było całkiem moje.
Serce we mnie pragnie, dusza moja czeka,
Na słoneczko moje pozieram z daleka,
Z daleka pozieram, od kochania ginę,
Jechałbym do ślubu choćby za godzinę,
Leciałbym do ślubu choć boso przez ciernie,
Bo kocham nad wszystko, a wiecznie i wiernie!



Czekać na siebie mamy
    Tyle długich miesięcy
Do Wielkiej Nocy samej –
    W czyścu przecie goręcej,
    A dusz tyle tysięcy
Czeka u rajskiej bramy!



Wiano

Jeden żąda od swej żony
Herbowej korony;
Drugi sobie żony szuka,
Gdzie w głowie nauka;
Inny musi wziąć przy żonie
Pieniądze w skarbonie.

Ty niegorszy od szlachcianek
Masz herb -- świeży wianek;
Bez nauki wiesz, co cnota
I serca prostota;
Umiesz kochać wiernie szczerze
I mówić pacierze.

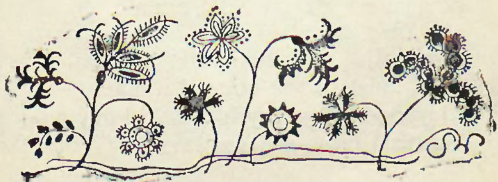
Z tobą ja w posagu biorę
Pracę i pokorę;
Wniesiesz mi królewskie wiano:
Duszę nieskalaną,
Twój majątek -- skarb dobroci
Życie mi ozłoci!



Warkocze

U mojej Jadwisi
Warkocz jeden — drugi,
A jasny, a długi
Za główeńką wisi
I ciężą głowisi
Te dwie złote strugi.

A gdy je rozplecie,
To się tych warkoczy
Złoto szczere toczy:
Istny cud na świecie!
— A wy aż giniecie
Moje chciwe oczy.



Dokoła nas milczący sad,
W górze miesiąca srebrny róg
I tor gwiaździsty mlecznych smug,
Niby anielskich skrzydeł ślad.

Na ramię moje głowę skłoń,
Na ustach moich usta złóż,
Przetrwamy tak na zawsze już,
Na śmierć i życie — w dłoni dłoń.

Ty nie znasz świata kłamstw i zdrad
I żądz i pych i klęsk i trwóg,
Ty nie wiesz ilem przeszedł dróg,
Nim wszedłem w ten zaciszny sad.

Ty nie wiesz ilem przetrwał burz,
Jakie łzy piłem, jaki jad,
Zanim do ciebie w cichy sad
Przywiódł mnie tu mój anioł-stróż.

Cierpiałem dość, przeżyłem dość
I ludzkich krzywd i własnych win
I oto, marnotrawny syn,
Wyniosłem z życia ból i czczość.

Dziś to już wszystko przykrym snem,
Bom świata proch otrzepał z nóg,
Gdym wszedł w twych ojców biedny próg
I znalazł niebo w sercu twem.



Raj

Otwarły mi się niebieskie wrota
I wszedłem w raju promienne mury
I ogarnęła mnie jasność złota
Dokoła stoją anieskie chóry
Z rozpostartemi białemi pióry.
Niewiem co trwoga, żądza, zgryzota,
Żyję światłością, ciszą, spokojem —
— Całe to niebo jest... w sercu twojem.





Jechać muszę

Jechać muszę -- bądź mi zdrowa
Gdy będę daleko
I niech Pan Bóg cię zachowa
Pod swoją opieką.

Jadę przeciw mojej woli,
Jadę przeciw chęci
Coś za tobą w sercu boli
W oczach łza się kręci.

Bądźcie zdrowe wy rączyny
Pilne do roboty,
Com wam dał na zrękowiny
Pierścioneczek złoty.

I wy mi bywajcie zdrowe
Warkocze prześliczne,
Wy jedwabne, złoto-płowe,
Jak kłosy pszeniczne.



Wy oczęta pełne nieba,
Świećcie wy nademną,
Bo mi was jak słońca trzeba,
Bo mi bez was ciemno.

Bądźcie zdrowe usta cudne,
Jak róża w rozkwicie,
Bez was gorzkie, bez was nudne
Całe moje życie.

Bądź mi zdrowe, bądź mi zdrowe
Ty słodkie kochanie,
Duszy-m z sobą wziął połowę
Druga tu zostanie.

Jechać muszę, bądź mi zdrowa
I miej mię w pamięci,
W swej opiece niech cię chowa
Bóg i wszyscy święci!

Kiedy mnie nie będzie,
Ludzie ci dopieką —
Żal pod sercem siędzie
A łzy pod powieką:

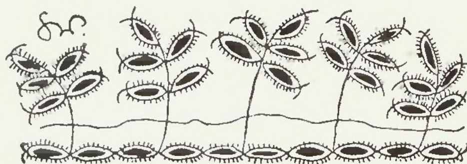
Ludzie ci dopieką:
— „Chciało ci się pana!
Teraz pan daleko
A tyś poniechana!"

Wydrwią cię sąsiedzi
Krewni cię wyśmieją:
— „Rychło zapowiedzi?
Raduj się nadzieją!"

Jak weźmiesz konewki
I pójdziesz pod studnię,
To Bronowskie dziewki
Spytają obłudnie:

— „Gdzież twój narzeczony?
Nie ma o nim słychu?
Może sobie żony
Szuka gdzie po cichu!"

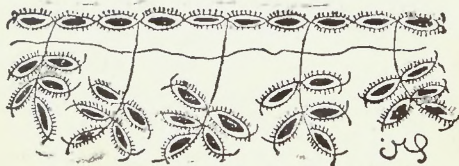
W stawie pławią chłopcy
Bronowskie konisie:
— „Lepszy swój niż obcy —
Porzucił Jadwisię!"

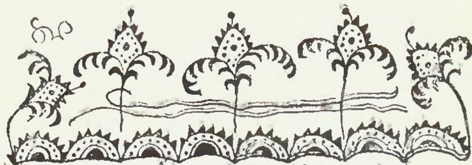


Na polu przy żniwie,
Po wsi całej wszędzie,
Będą drwić zjadliwie,
Kiedy mnie nie będzie.

Ty nie dbaj na drwinki
Jam wierny i pewny,
Nie rzucę Jadwinki
Ani dla królewny.

Z ocząt mej niebogi
Otrę słoną rosę,
Ucałuję nogi,
Biedne nóżki bose.

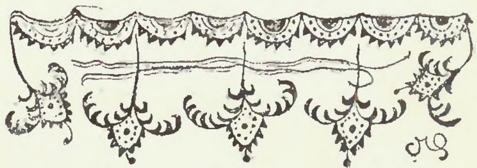




Tutaj także są żniwa,
Brzęczą sierpy i kosy
I tu z piosnką się zrywa
Skowroneczek w niebiosy.

I tu zboża się złocą
I zielenią się sady
I tu prześwieca nocą
Przez drzewa miesiąc blady.

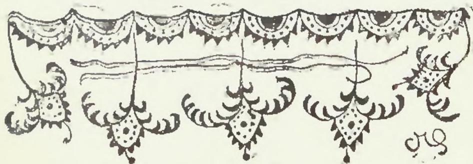
Ale dla mnie tu zima,
Dni tu ciężko mi płyną,
Bo ciebie przy mnie niema,
Ty jedyna dziewczyno!





Mgła opada,
Rosa siada
Na zielonej leszczynie –
Mnie się w serce żal zakrada
Po najmilszej dziewczynie

Wiatr przewiewa
Poprzez drzewa,
Z rosy liście osuszy –
A mnie serce żal zalewa
I tęsknotę mam w duszy.





Od Krakowa czarny las,
Nad tym lasem tęczy pas –
Ona tam daleko,
Gdzieś za siódmą rzeką,
Lecz Bóg tęczą związał nas.

Z kolorowych siedmiu smug
Most przez niebo zrobił Bóg:
Po tęczowym moście,
Aniołowie noście
Serce moje do jej nóg.



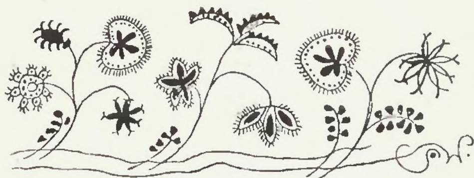
Miły Boże, Mocny Boże,
Rosa pada,
Gasną zorze...
Jadwisieńka o tej porze
Do snu się układa.

Miły Boże, Mocny Boże,
Niech anieli
W jej komorze,
W jaśniejącym z gwiazd ubiorze,
Staną u pościeli.

Miły Boże, Mocny Boże,
Ja tu chodzę
O wieczorze
Po ścierniskach, po ugorze,
Po bezludnej drodze.

Miły Boże, Mocny Boże,
Mgła na Wiśle,
Chłód na dworze,
Choć się w domu spać położę –
O Jadwisi myślę.

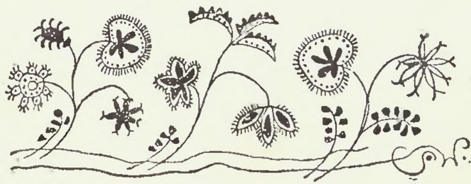
Miły Boże, Mocny Boże,
Miesiąc złoty
Chmury orze...
Jadwiś, moje ty nieboże
Ja tu schnę z tęsknoty!

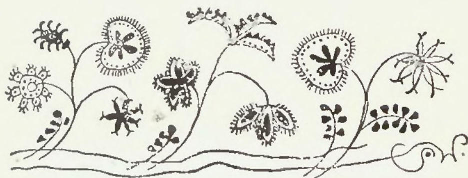


Powrócę

Powrócę ja powrócę,
Jadwinko ukochana,
Do nóżek ci się rzucę,
Obejmę za kolana.

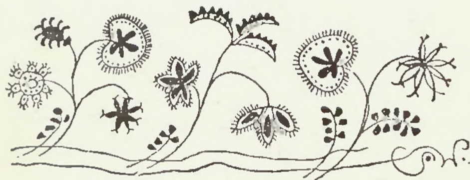
Obejmę cię za szyję,
Na sercu cię upieszczę,
Z ust oddech ci wypiję
Sto razy i raz jeszcze!

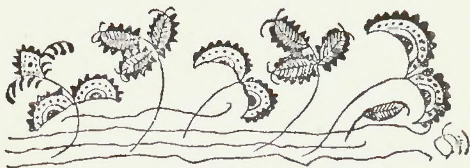




Daj Bóg zdrowie mojemu dziewczątku!
Za ten liścik pisany ołówkiem;
Wciąż go czytam i znów od początku
Każdziuteńkiem raduję się słówkiem.

Tak pisała po prostu i szczerze,
Że jak czytam, to w każdej literce
Wypisane widzę na papierze
Jej anielskie, kochające serce.

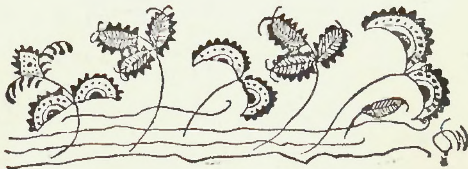




Tęsknota

Zbierają się bociany
Do odlotu klekocą —
Ja tu jak uwiązany
Tęsknię i dniem i nocą.

Zbierają się bociany
Na tem zielonem bagnie —
Ja tu jak uwięziony,
Serce do ciebie pragnie.

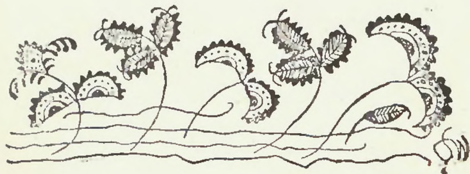




Co tam w Bronowicach robi o tym czasie
Jadwisia ta jedyna?
Czy się w domu krząta, czy na ścierniach pasie?
I na mnie czy wspomina?

Może ją posłali z grabiami do siana
Na błonia ku Krakowu?
Jedno wiem, że o mnie myślała od rana
I teraz myśli znowu!

Może siadła w kątku, list odemnie czyta
I łza u rzęs jej wisi — ?
Wciąż o Bronowice serce moje pyta
Stęsknione do Jadwisi.



Oj wyzieraj

Oj wyzieraj często z domu,
Siedź w okienku, w progu stój —
Jadwinko,
Bo wnet wróci chłopiec twój!

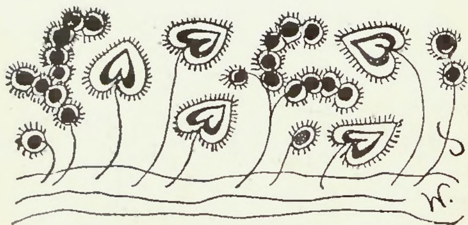
W drzwi spoglądaj po kryjomu,
Gdy przechodzić masz przez sień —
Jadwinko,
Bo ja przyjdę lada dzień!

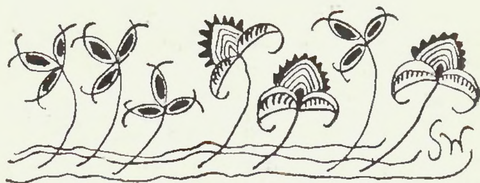
Jak mnie ujrzą twoje oczy,
To chusteczkę żółtą wdziej —
Jadwinko,
I ku drodze wynijdź w niej.

Serce z piersi mi wyskoczy,
Skoro w sadzie pośród grusz —
Jadwinko,
Poznam cię z daleka już.

Niechno żółta twa chusteczka
Zaświeci przedemną gdzieś —
Jadwinko,
To polecę w mig przez wieś,

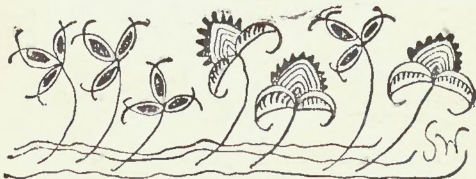
Ucałuję twe usteczka,
Sercem, duszą, z całych sił —
Jadwinko,
Szczęście z warg twych będę pił!





Niechaj ciebie Matka Boska
Ramionami otoczy
I każdego strzeże włoska
Twoich złotych warkoczy.

Niech zasłania cię sukienką
Z blasku słońca zrobioną –
Bądź mi zdrowa, Jadwisienko
Pod najświętszą obroną!

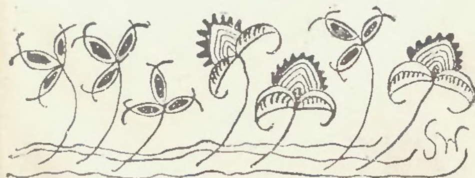




Za wolno, za późno, wy gwiazdy schodzicie
Z niebieskiej krainy —
Za wolno, za późno bielejesz ty świecie
Srebrzysty i siny.

Za wolno, za późno na niebie wstajecie,
Wy zorze ogniste —
Za późno ty słonko rozsiewasz po świecie
Promienie strzeliste.

Za wolno płyniecie, leniwe godziny,
Mijajcie a spieszcie!
Ja dzisiaj wieczorem do mojej dziewczyny
Powracam nareszcie...



Przystanie

Słońce już schodziło nisko,
Kryjąc się za wzgórza,
Gdym biegł ku niej przez ściernisko.

Ujrzała mnie — pokraśniała,
Jako młoda róża,
Co rumieńcem świeżym pała.

I szła ku mnie przez zagony
Radością różowa,
Jak to słońce, co się chowa
W jasności czerwonej;

Podała mi ręce obie
I tak staliśmy przy sobie,
Nie mówiąc ni słowa —
I tylko nam z całej siły
Serca w piersiach biły....

Kołem, oj kołem
Chodzi słoneczko
Po niebie po wysokiem,
Okiem wesołem,
Złocistem okiem
Patrzy w twe okieneczko.

Kołem, oj kołem
Słonko wędruje,
Świecące po niebiosach,
Nad twojem czołem
Błyszczy we włosach,
Po liczku cię całuje.

Ja nie słoneczko,
Ale wędruję
Z Krakowa codzień rano,
Przez okieneczko
Główkę kochaną
I liczka twe całuję.



Twój obraz.

Całowałaś mi nieraz powieki,
U mych oczu całowałaś obu
I twój obraz mam w oczach na wieki
I zabiorę go z sobą do grobu.



Kiedy wiatry z tej strony powieją,
To na wierzbach drżą listki zielone;
Kiedy wiatry powieją w tę stronę,
To na wierzbach listeczki siwieją.

Na mnie wiatry ze wszech stron niech wioną,
Serca mego odmienić nie mogą,
Niechaj wieją! Nie słucham nikogo
Kocham ciebie i będziesz mi żoną!

Leciał ptaszek z raju
Do ziemskiego kraju,
Przelatywał tędy górą,
Gdzie twoje podwórko
I upuścił złote pióro –
Ja wziąłem to piórko...

Powiał wiatrek z raju
Do ziemskiego kraju,
Przyniósł rajskiej róży kwiatek
Przed twoje mieszkanie,
Ja z niej wziąłem jeden płatek –
Niech za papier stanie.

Siadłem sobie potem
I tem piórkiem złotem
Na listeczku rajskiej róży
Piszę drobniuteńko,
Że bez ciebie żyć już dłużej
Nie chcę, Jadwisieńko!

Czyli słońce jesienne,
Czy mgły mętne i senne,
Czy szaruga ponura
I rozmoknięta słota,
Czy północna wichura,
Co po gościńcu miota
Żółkniejącymi liśćmi —
Zawsze moja tęsknota
Z Krakowa mnie wygania:
Oj, do Bronowic iść mi
Do mojego kochania!

Zna mnie, gdy tam przechodzę,
Każda wierzba przy drodze
I za wiatrem się kłania:
— „Wiemy, wiemy, do kogo
Chodzisz ciągle tą drogą,
Wieczorem wrócisz znowu
Z Bronowic ku Krakowu...«
— „Wy moje wierzby stare
Poczekajcie niewiele
Już za tygodni parę
Przejedzie tu wesele!“

Zagrajcież jej grajkowie,
Bo już wyszła z komory —

Wyszła z wieńcem na głowie-
Ta jedyna, kochana;
Błyszczą na niej ubiory,
Błyszczy na niej katana
W srebrne listki utkana.

Zagrajcież jej grajkowie,
Bo już wyszła z komory —

Jak królewska korona
Z kwiatów złotych pleciona,
Tak wieniec na jej głowie
A z wieńca na ramiona
Biją wstążek kolory.

Zagrajcież jej grajkowie,
Bo już wyszła z komory —

Niech mi teraz kto powie,
Czy jest w całym Krakowie
Czy jest na całej ziemi
Rozkoszniejsza uroda
I z oczyma słodszemi?

Zagrajcież jej grajkowie,
Bo idzie panna młoda!

Z wiankiem złotym na czole
Siadła sobie przy stole
A ja po drugiej stronie;
Ręką zakryła oczy,
Przez palce łza się toczy
I twarz jej biała płonie.

Prawą rękę mi daje
A matusia chleb kraje,
Niesie wodę święconą...
— O co płaczesz, jedyna
Że już idzie godzina,
Gdy będziesz moją żoną?!

— „Niech wam się w życiu darzy!“
Mówią rodzice starzy,
Ręce z bochenkiem chleba
Wiążą chustką ponsową,
Krzyż nam robią nad głową:
— „Bóg wam błogosław z nieba!“

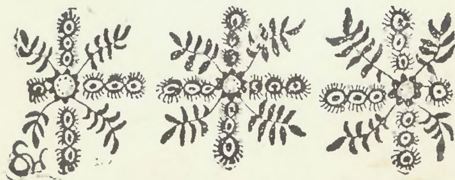
Nie płacz Jadwiś, panno młoda
Otrzyj oczy, łez twych szkoda.
Słońce wyszło ze mgły bladej,
Złoci się pogoda:
To znak dobrej wróżby!
Na wóz siadły już sąsiady,
Na koń siedli drużby;
Rży pod jednym klacza siwa
A pod drugim źrebiec gniady
Do biegu się zrywa.

Droga się przez pola ściele,
Drogą jedzie w cwał wesele
A drużbowie rwą z kopyta
Przed nami na czele;
U czapki czerwonej
Miga się im pawia kita
I bukiet złocony,
Dzwonki brzęczą u wędzidła,
Z ramion chustka w kwiatki szyta
Wiewa, jako skrzydła.

Wóz za wozem pędem wali
W blaskach wstążek, chust, korali —
Śmiechy, śpiewki, grzmi muzyka,
W żyłach krew się pali,
Twarze wicher chłodzi;
A pierwszy nasz wóz pomyka:
Przodem państwo młodzi!
Ale co nam weselisko —
Dla nas niebo się odmyka,
Bo już ołtarz blisko!



PROCESYA



Dzień był złocisty, niebo turkusowe,
Podobne wielkiej kopule sklepionej.
Słońce, uszedłszy drogi swej połowę,
Opromieniało z góry lip korony
I biały kościół. Przez liści osnowę
Zieloną blask się cedził rozstrzelony
I rozpościerał po ciemnej murawie
Centki świetlane — niby oka pawie.

Łagodne tchnienia czasem z pól się ruszą
I sianokosów mieszają zapachy
Z wonią lip, które drobnem kwieciem prószą,
Jak pyłem złotym, na kościelne dachy
I cmentarz. Wewnątrz śpiewa całą duszą
Lud rozmodlony, a głosów rozmachy,
Zmieszane z jękiem przeciągłym organu,
W strop uderzają, nakształt huraganu.

Tłum, co w kościele zmieścić się nie może,
Pod ścianą w cieniu, albo u drzwi zgięty,
Klęczy i chórem śpiewa: „Święty Boże...!"
I lipy szumią: "Święty - Święty - Święty...!"
I - „Święty, mocny!..." szemrze w polach zboże
I zewsząd płynie ten hymn wniebowzięty:
— „Święty, a nieśmiertelny!" - Powiewami
Wiatru tchnie ziemia: „Zmiłuj się nad nami!"

Pieśń uleciała błękitnemi szlaki
W czystem powietrzu — i zmilkły organy.
Wtem pod dzwonnicą stojące chłopaki,
Strojni w siermięgi mleczne i kaftany
Ognisto kraśne, jako polne maki —
Targnęli sznury i z paszczy miedzianej
Dzwonów — potężny, grzmiący ton wylata,
Drga, huczy, dudni, — a chmara skrzydlata

Wróbli, co lipy napełnia świegotem,
Teraz, w popłochu furknęła w lazury
I rozleciała się w powietrzu złotem.
Chłopaki, dzwoniąc, wyprężają sznury
I przysiadają ku ziemi, a potem
Z odmachem dzwonów rosną znów do góry:
Raz w raz, ci z jednej, tamci z drugiej strony,
Naprzemian ciągną, a rozchwiane dzwony

Ryczą i tętnią sercami ze spiżu.
Z kościoła słychać nowy śpiew i kroki...
Lud na cmentarzu garnie się w pobliżu
Kruchty pół-ciemnej — i nagle z pomroki
Krzyż się ukazał we drzwiach, a na krzyżu
Chrystus rozpięty. Niósł go chłop wysoki,
Co na sukmanie krótką miał komeżkę,
I tłum się cofnął, czyniąc przed nim ścieżkę.

Przy nim dwaj chłopcy w bieli i w czerwieni
Niosą natknięte na kolcach lichtarzy
Świece woskowe. Z migotem płomieni
Igra dech wiatru i na bok je waży. –
Z przyćmionej kruchty rój świateł się mieni,
Rzeka ruchomych, skrzących gwiazd się jarzy;
Nad nią, jak żagle wzniesione do góry,
Sterczą chorągwie z wyblakłej purpury.

W odrzwiach kościelnych każda się przykłania,
A potem w górę złotym krzyżem zmierza.
Na każdej inne błyszczą malowania:
Anioł świętego wita Kazimierza,
Co się korony ziemskiej dotknąć wzbrania –
Tam konna postać Marcina rycerza,
Tu znów archanioł Michał w srebrnej zbroi
Na krwawem cielsku Lucypera stoi.

I tłum powoli ruszył się wezbrany,
Podobny wielkiej falującej rzece;
Tysiąc barw płonie: bielą się sukmany,
Jak śnieg – a chusty mienią się kobiece
Niby motyle, niby tulipany –
Na tym kobiercu kolorowym świecie,
Jakby języków gorejących krocie,
Chwieją się, rude w słonecznej pozłocie.

I skrzy ławica świateł migotliwa,
Nad płomieniami ćmią się dymne męty
I drżą, podobne do płynnego szkliwa –
Górą, na złote drzazgi rozpryśnięty,
Przez lip konary blask słoneczny spływa,
Łamie się w tęcze, sieje dyamenty,
Zmienia w szmaragdy każdy liść na drzewie
I rzuca — chwiejny przy lada powiewie –

Na przemian cienie i świetlane plamy.
Za chorągwiami ciągną feretrony
Długim szeregiem od kościelnej bramy.
Z białych muślinów lekkie drżą osłony,
Upięte wkoło pozłocistej ramy
Girlandą kwiatów z bibułki czerwonej,
I z tych trzęsideł, które promień złoty
Słońca, w najdroższe przerabia klejnoty.

Przodem, na pierwszym zaraz feretronie
Chrystus Bolesny, wyciosany z drzewa,
Nagi, skrwawiony, w cierniowej koronie,
Usiadł i z żalu nad ludźmi omdlewa,
Bo zwiesił głowę i na chude dłonie
Położył lica. Wiatr mu z ramion zwiewa
Płaszcz, którym dawno snać Go przyodziały
Ręce pobożne: szkarłatny, spłowiały.

Za nim uwita z białych róż altana,
W niej Marya Panna, rozpostarłszy ręce,
Na kuli ziemskiej stanęła, przybrana
W złotej koronie, w jedwabnej sukience.
Nogą pół-księżyc depce i szatana
W postaci węża, co jabłko w paszczęce
Gryzie, ślepiami łypiąc zielonemi,
Rad, że opasał cały okrąg ziemi.

Niosą Ją cztery dorodne dziewczęta,
Strojne, jak łąka i jak wiosna świeże:
Twarz, co od dziecka skwar słońca pamięta,
Złotawą krasę na policzki bierze;
Pierś młoda cudnym gorsetem opięta:
Jak owe z drogich kamieni pancerze,
Co miały w bajkach smoki blaskiem straszyć —
Tak gorset każdy grał blaskiem pstrych naszyć.

A każdy w inne mienił się naszycie —
Paciorki, blaszki, frendzelki, wisiory
Na wyrabianym w kwiaty aksamicie,
Jakby napierśnik tworzą różnowzory.
Od krótkich spódnic, nawdzianych sowicie
I szumnie, biją gorące kolory,
A z ramion chusty spadają krasiate,
W czerwoną, białą i zieloną kratę.

Wieją wzorzyste przy koralach wstążki
Na karku w węzeł zadzierżgnięte suty,
Warkocze w tyle upięte w dwa krążki —
Niby w kształt serca zdobi wianek ruty.
Szły proste, ciche, na ramionach drążki
Od feretronu unosząc, a buty
Wysokie, sztywne, skórą jeszcze nową
Za każdym krokiem skrzypiały miarowo.

I feretrony płyną, jako statki,
Dołem nawała ludzkich głów — jak fale,
Na końcu obraz Częstochowskiej Matki
W glorji złocistej szedł, w promiennej chwale,
W bieli osłonek strojnych w polne kwiatki.
U szyi miała przypięte korale,
Jakby łzy krwawe, w kamień zamienione —
Czyjeś, kto pod Jej uciekł się obronę.

I ponad ciżbą ludu swego płynie,
Patrząc litośnie twarzą czarną, smętną...
U drążków kroczą cztery gospodynie,
Co przyodziewę włożyły odświętną;
W dostojnym chodzie, w uroczystej minie
Widać skupienia i powagi piętno —
Powoli suną pyszne, tryumfalne,
A w krąg spodnice szeleszczą krochmalne.

O krok za niemi stąpał organista
Z książką. Przy czarnym, świątecznym surducie,
Pałała żywo krawata ognista.
Śpiewał, co gardła — na końcowej nucie
Głos przeciągając, a rosa kroplista
Na czole świadkiem była, że uczucie
I dech ostatni wlewał w pieśni wątek.
Potem tłum ludu szedł i rój dziewczątek,

Co wstecz stąpały zwrócone w półkole:
Oczy podobne do niezapominek,
Włosy, jak słoma płowe i na czole
Wianuszki polne. Każda z tych dziewczynek
Z kobiałki sieje bławatki, kąkole,
Płatki piwonij, rumianki, barwinek
I drobne kwiecie poprzed Panem ściele,
Co między lud swój zstąpił w Żywem Ciele.

U baldachimu czterech gospodarzy
Krzepkich, jak dęby stuletnie — i zda się,
Że to lechiccy władykowie starzy,
Co wespół z Piastem żyli w dawnym czasie.
Jakiś majestat senatorski w twarzy
I sukman białość i na ciężkim pasie
Moc niezliczona gwoździków mosiężnych
U tych wioskowych magnatów siermiężnych.

Sam pan kolator księdza wiódł pod ramię,
Świecę woskową niosąc w drugiem ręku,
A proboszcz, cały w pozłocistej lamie,
Nad czołem, zgiętem od świętego lęku,
Dzierżył Monstrancję, na której się łamie
Sto strzał słonecznych i szedł śród pobrzęku
Dzwonków i z pieśnią, której wiara żywa
Serca i głosy w błękit gdzieś porywa.

Ołtarz wzniesiony był w rogu cmentarza,
Pod lip ogromnych cienistym namiotem;
Tam stanął pochód. Na stopniach ołtarza
Ksiądz Ewangelję odczytał, a potem
Podniósł Monstrancję... Jako się przeważa
Łan, zgięty wichrem — tak się kładł pokotem
Lud, a chorągwie skłonione w tej chwili,
Były, jak drzewa, gdy je burza chyli.

I tak leżała owa ludzka ława,
Cała w kolorach świetnych, jako łąka
Przepychem kwiecia barwnego jaskrawa.
A po niej cieniów lipowych koronka
I jasność słońca chodziła złotawa.
Cisza. W tem zabrzmiał głos srebrzysty dzwonka
I z piersi tłumu w słoneczne przestrzenie
Buchnęło wielkie, przeciągłe westchnienie.

Jak lipy, w których letni powiew drzymie,
Z podniesionemi stojące ramiony —
Tak ksiądz ramiona zdał się mieć olbrzymie,
Kiedy Monstrancji krąg rozpromieniony
Dźwignął. I była w kadzidlanym dymie,
Jak drugie słońce; w cztery świata strony
Zwracał ją ponad mnóstwem ludu zgiętem
I zaczął: „Przed tak wielkim Sakramentem!“...



SPIS RZECZY:

CZĘŚĆ I.

CZĘŚĆ. II.



